

Wydawnictwo UMCS
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

**PROGRAM TV ● Te bankiety, balety ● CZY WYSTARCZY NA „ZUPKĘ”
● Jak wykończyć doktora ● Pod bankiem ● Dom Kuncewiczów
● KRACH „W SAMOCHODACH” ● MORD W OWCZARNI ● Polskie słowo
● ŻYDZI, ENDECY... ● Przemysł ● Czy wytrzymamy reformę?**

**TYGODNIK
WSCHODNI**

PL ISSN 0660-8830

relacje

LUBLIN, 18-24.01.1990R.

NR 3 (53)

CENA 800 ZŁ

PARASOLE I PARZYGNATY

**Opowiada znany
warszawski restaurator
Henryk Dębski**

...się do tego zawodu trafia albo z powodu pazerności na wielki szmal, albo z powodu przypadku. Bo wielka sztuka przychodzi dopiero później i nie każdemu jest dane dostąpić jej błogosławieństwa. Paru moim znajomym przeszło ono mimo rąk i choć do dziś na wrywki znają reguły tranżerowania kapłonów, to nie potrafią nawet przypalić gościowi zwykłego cygara. Takim nie pomoże ani wola Boska, ani związek zawodowy.

W trzydziestym ósmym, po szkole powszechnej, posłała mnie matka do wydziału zatrudnienia dla młodocianych, gdzie otrzymałem skierowanie na egzamin wstępny w szkole przysposobienia hotelarskiego na Saskiej Kępie. To był, rzecz jasna, przypadek, bo moim — dla przykładu — trafić do terminu u szewca, krawca czy piekarza.

Dzisiaj się już tak nie egzaminuje i pewnie dlatego zawód nasz coraz bardziej w rzemiosło przechodzi. Kosztem czystej sztuki, umiłowania zawodu, poczucia jego wartości.

Pamiętam, komisja, a byli w niej — jak się później okazało miało — sami wzięci warszawscy restauratorzy, wyrzucała przed każdym kandydatem z walizki całą jej zawartość, różne tam antyki, samodziały, samopalały, słowem wszystko to, co się podróżnemu w czasie peregrynacji przydać może. Cały ten bajzel na stoper spakować należało, uważając, by dajmy na to, kanapki ze zrazikami do buta nie wcisnąć, co się poniekąd zdarzało. Byliśmy wszak zupełnie surowi w tej materii, więc liczył się tylko spryt i własna inteligencja.

Inny sprawdzian zręcznościowy to chwytanie kijów bambusowych przytwierdzonych na elektromagnes do sufitu i spadających nagle, naprzód pojedynczo, potem zaś w dubletach. Złapałeś wszystkie, znaczy byłeś tip-top, miałeś sprężyny w palcach, a więc nadawałeś się na parasola.

Gość musi się czuć potrzebny

Testowano nas także ustnie. Oto pali się pokój hotelowy, trup we wannie się pławi, co byś zrobił, gdyby na ciebie trafiło? Czasu do namysłu miałeś tyle co nic, ot, wchodziś w środek wymyślonej akcji i musisz zacząć działać. Już od teraz, w tej chwili.

Albo gość do hotelu przychodzi, a ty robisz za recepcjonistę; taki niefart, że to dopiero pierwszy lokator na tę noc. Jak się zachować? O, nie, mój drogi. Dobry recepcjonista nawet w takiej sytuacji naprzód emotka, może nie w sensie tipsu, bo dobry recepcjonista ma swój honor i na napiwek się nie łakomą, ale dlatego, iżby gość czuł, że sprawia kłopot. Dobry recepcjonista nie rozpowiada, że owszem, cały hotel pusty, może pan wybierać pokoje na dowolnym florze, ale że owszem, pokoje już są zajęte, lecz dla

Ciąg dalszy na str. 4



Fot. Waldemar Stępień

Sprzedać, kupić czy odstawić?

SAMOCHODY STAJĄ DĘBA

Marek Podgajny

PRYWATNY import samochodów produkcji zachodniej w naszym kraju socjalistycznych nie był tak rozwinięty jak u nas. Nie bez powodu mówiło się, że Polska jest drugim krajem po RFN, gdzie po drogach jeździ największa liczba mercedesów. Samochody rodzimej produkcji, nie dość, że drogie i o niskim standardzie — były do kupienia dopiero po długim oczekiwaniu w kolejce. Różni więc byli na auto z Zachodu.

Od 1 stycznia br. sytuacja zmieniła się. Wprowadzono nową, kilkakrotnie wyższą taryfę importową oraz podatek obrotowy. Urzędnicy z Ministerstwa Finansów i resortu współpracy gospodarczej z zagranicą twierdzą, że było to konieczne dla utrzymania twardej waluty wywożonej z naszego kraju do Berlina Zachodniego, RFN i Belgii, skąd przywożono największą liczbę aut.

Z drugiej jednak strony, skarb państwa dobrowolnie pozbawił się wpływów z cła uiszczanego przez prywatnych importerów. W ciągu jedenastu miesięcy ub.r. dało to aż 146 miliardów złotych. Tylko w październiku opłaty z tego tytułu przekroczyły 37 miliardów, podczas gdy wpływy z cła importowego od wszystkich krajowych podmiotów gospodarczych wyniosły 64 mld. Po obecnych zmianach w przepisach celnych nie należy się już spodziewać takiego napływu go-

tówki. W 1989 roku Polacy sprowadzili z drugiego obszaru płatniczego ponad 130 tysięcy samochodów! Wygląda więc na to, że

KURA ZNOSZĄCA ZŁOTE JAJA

została zarznięta z premedytacją. Fabrycznie nowa lada samara kosztuje na Zachodzie od 4,5 tys. dolarów, w górę, toteż nikt z Polaków nie kupuje tam nowych samochodów. Najbardziej opłacalne są auta z RFN: kilkuletnie volkswageny, mercedesy, audi, ford. Idą również lady i nasze polonezy kupowane w Belgii. Ceny tych marek kształtują się od 500—700 do 2000—3000 dolarów, w zależności od marki i stanu technicznego. Nie bez przyczyny władze Berlina Zachodniego wdzięczne są Polakom za wywóz tych samochodów z ich przyciasnego miasta. Nasz kraj stał się motoryzacyjnym śmietnikiem zachodniej Europy, a w Berlinie pozbyto się kłopotliwych w składowaniu starych wozów. Niektóre wymagają kapitalnych remontów, inne tylko drobnej kosmetyki. Niemiec, jeżeli ma pieniądze, woli sobie kupić nowy wóz. Trafiają więc te samochody do polskich warsztatów i potem długo jeszcze służą nowym właścicielom.

Dokończenie na str. 9

relacje

ZE ŚWIATA

● „Kolejną zagraniczną podróżą” nazwało BBC wizytę Michaiła Gorbaczowa na Litwie. Jej celem było zapobieżenie oderwaniu Litwy od ZSRR. Rozmowy z przywódcami Komunistycznej Partii Litwy i „Sajudisu” nie przyniosły konkretnych rezultatów. Na spotkaniu z intelektualistami Gorbaczow porównał stosunki radziecko-litewskie do małżeństwa, które łatwo zawrzeć, ale nie bardzo wiadomo, jak wziąć rozwód. Rozmawiając, w tłumie, z mieszkańcami Wilna, powiedział: „Macie dużo swobody, jeżeli przed gmachem KC możecie krzyczeć, co chcecie. Jakież więc chcecie swobody? Może anarchii?”. W Wilnie zgromadziło się blisko milion Litwinów, by poprzeć postulaty „Sajudisu”.

● W Sofii odbyła się 45. sesja RWPG. Dyskutowano nową formułę organizacji Rady, lecz delegacje nie uzgodniły wspólnego stanowiska. Ustalono jedynie, że wymiana handlowa między krajami członkowskimi powinna opierać się na cenach światowych, a płatności na walutach wymienialnych. M. Gorbaczow określił RWPG „śmietnikiem, na którym sprzedaje się towary, których gdzie indziej by się nie sprzedawało”.

● Źródła greckie i jugosłowiańskie informują o zamieszkach w Albanii. Są zabici i ranni. Według niepotwierdzonych informacji, w drugim co do wielkości mieście kraju — Szkodrze, wprowadzono stan wyjątkowy.

● W Bukareszcie trwały demonstracje przeciwników udziału komunistów w rządzie i w Radzie Frontu Ocalenia Narodowego. Wznoszono o-

krzyki: „Precz z komunizmem! Krew za krew, śmierć za śmierć!” Dziennik „Romania Libera” oskarżył wicepremiera Dumitru Mazilu o dążenie do obalenia obecnego rządu i domagał się jego dymisji.

● Zapadły pierwsze wyroki w procesach agentów Securitate. Aresztowano drugiego syna Ceausescu — Walentina, o którym do niedawna mówiono, iż był odszczepieńcem w rodzinie dyktatora.

● W Bułgarii trwały demonstracje na rzecz demokracji w kraju. Władzom zarzuca się zbyt wolne tempo przemian i utrzymywanie monopolu komunistów. W Bułgarskiej Partii Komunistycznej nastąpił rozłam. Powstał Alternatywny Ruch Socjalistyczny, głoszący zasady gospodarki rynkowej.

● „W Bułgarii Todor Ziwkow, nazywany »synem swego narodu i swoich czasów«, miał 1.30 30 willi-pałaców rozszanych po całym kraju i wykwinną posiadłość w Szwarzearii. Złośliwi mówią w Sofii, że pod tym względem okazał się lepszy nawet od cara Borysa, któremu wystarczyły 4 luksusowe rezydencje” („Prawo i Życie” nr 2/90).

● Do pierwszych strajków ekonomicznych doszło w Czechosłowacji.

● Grupa czechosłowackich uczonych, głównie historyków, zwróciła się pisemnie do przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, Aleksandra Dubczeka, z prośbą o wyjaśnienie udziału dwóch czechosłowackich dywizji w planowanej na jesień 1980 roku interwencji zbrojnej państw Układu Warszawskiego w Polsce.

● Włoski komunista i wydawca Roberto Napoleone, ogłosił subskrypcję na wykup i przewiezienie do Italii usuniętego z Nowej Huty pomnika Lenina. „We Włoszech czci się pamięć Lenina — powiedział Napoleone w wywiadzie dla »Roboczej Tribuny«. — Stoją tu jego pomniki. Teraz może

nam przybyć kolejny — z czego będziemy bardzo dumni”.

● Działacze partii opozycyjnych wykryli węgierską „Watergate”. Służba bezpieczeństwa prowadziła stały podsłuch i inwigilacje członków opozycji. Co dziwniejsze, „opiekowano się” również niektórymi działaczami rządzącej Węgierskiej Partii Socjalistycznej. Odwołano ministra spraw wewnętrznych.

● Nie ustają starcia i zamieszki w Nagornym Karabachu. Strzelanina, zamachy bombowe, przemyt broni, skrytobójcze morderstwa — siły bezpieczeństwa są bezradne wobec nacjonalistycznej wojny Azerów i Ormian.

● W ukraińskim Czernihowie doszło do demonstracji na rzecz suwerenności Ukrainy. Kilkakrotnie interweniowały siły policyjne.

● W Chinach aresztowano dwóch biskupów i księdza, gdyż odmówili wstąpienia do działającego pod kontrolą władz, Patriotycznego Stowarzyszenia Chińskich Katolików i krytykowali tę organizację. Wiernym w Chinach nie wolno utrzymywać jakichkolwiek kontaktów z Watykanem.

● Premier Chin Li Peng, ogłaszając zniesienie stanu wyjątkowego w Pekinie, nazwał zdławienie „kontrewolucyjnej rebelii” — „wielkim zwycięstwem”. Gest Li Penga oceniany jest jako próba nawiązania normalnej współpracy gospodarczej z Zachodem.

● Były pastor anglikański, żonaty, ojciec czworga dzieci, który przeszedł na obrządek rzymskokatolicki, uzyskał zgodę papieża na pełnienie obowiązków kapłańskich, lecz jedynie na terytorium USA.

● Japonia jest największym wierzycielem świata. Jej największym dłużnikiem są Stany Zjednoczone. Należność Japonii wynosi bilion dolarów. Polska jest winna Japonii 1 miliard dolarów.

relacje

Z KRAJU

● W Polsce przebywał premier Japonii Toshiki Kaifu.

● Górnicy kopalni węgla kamiennego z Wałbrzycha i Jastrzębia podjęli akcje protestacyjne, związane ze sposobem likwidowania struktur pośrednich w górnictwie, ustalaniem cen węgla, ograniczeniem administracji oraz próbami odebrania górnikom długoletnich przywilejów.

● Sejmowe komisje odrzuciły projekty budżetów edukacji narodowej, wojska, ochrony środowiska i cenzury. Zaaprobowały projekty: zdrowia, MSW, kultury i środków przekazu, handlu zagranicznego, PAN, URM oraz kancelarii prezidenta.

● W najbliższym czasie przewiduje się likwidację Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk.

● W Uniwersytecie Warszawskim obradował „Ruch 8 lipca”, jedno z ugrupowań w PZPR. Uczestnicy spotkania powiedzieli się za zerwaniem z leninizmem i komunizmem oraz stworzeniem nowej partii. Za kandydatów „Ruchu 8 lipca” do stanowiska I sekretarza uważa się powszechnie Sławomira Wiatra i Aleksandra Kwasińskiego.

● Dyrekcja Generalna PKP odmówiła delegatom, na XI Zjazd PZPR 50. proc. zniżki na przejazd pociągami.

● Po mszy w gdańskim kościele św. Brygidy, przemawiając do zebranych, Lech Wałęsa powiedział, że „Polsce potrzebna jest lewica dla higieny prawicy”.

● Prokuratura Wojewódzka w Katowicach wszczęła dochodzenie w sprawie działalności 152. spółek. W 38. z nich miało udziały 65. dyrektorów śląskich przedsiębiorstw.

● W Kiekrzu koło Poznania odbył się krajowy zjazd grup inicjatywnych i komitetów założycielskich NSZZ Funkcjonariuszy MO. Powołano Krajową Komisję Koordynacyjną, której przewodnictwem powierzono kpt. Romanowi Huli z Piekars Śląskich.

● Podjęto długo oczekiwana decyzję o wypłaceniu rent i emerytur zagranicznych w 100 proc. w dewizach. Dotychczas renciści otrzymywali 60 proc. należności w złotych w oficjalnym przeliczeniu dolara.

● W związku z ogromnym wzrostem przestępczości w Szczecinie podjęto werbunek do specjalnych „brygad tygrysa”. Z całego kraju zgłosiło się już ok. 100 osób.

● Minister obrony narodowej, gen. Florian Siwicki, oświadczył, że w 1989 roku nasze siły zbrojne zmniejszyły się o 33 tys. żołnierzy, rozwiązano 68 jednostek, wycofano 400 żołdaków, 700 dział i moździerzy, 600 transporterów opancerzonych i 80 samolo-

tów. W 1990 roku Wojsko Polskie zmniejszy się o dalszych 10 tys. osób i liczyć będzie 300 tys. żołnierzy.

● Przebywający z wizytą w Polsce minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, Jirži Dienstbier, bez entuzjazmu wyraził się o koncepcji federacji polsko-czechosłowackiej.

● W 1989 roku produkcja książek w Polsce spadła o 30 proc. Ten rok zapowiada się jeszcze gorzej. Może się niedługo okazać, że jedyną książką w domu będzie książka telefoniczna. A może czekowa?

● Drastycznie podniesiono ceny detaliczne krajowych wyrobów spirytusowych. Pół litra „wyborowej” kosztuje 31 400 zł.

● Cena biletu lotniczego (LOT) do USA: 16 mln 089 tys. zł. Jeśli przyjąć średnią piątą w 1990 roku za 900 tys. zł, na zamorską podróż trzeba by zbierać 19 miesięcy.

● W grudniu ub. r. górnicy dołowi zarabiali przeciętnie 968 tys. Przeciętna płaca w przemyśle wynosiła 637 tys. złotych. W województwie lubelskim — 586 tys.

● W ubiegłym roku Polacy spędzili przed telewizorami średnio 22,5 godziny tygodniowo.

● Ponad 10 tys. Polaków pływa na statkach obcych bander, głównie: cypryjskiej, liberyjskiej i zachodniemieckiej.

(De-Wu)

DO CZYTELNIKÓW

W tym miesiącu — dokładnie 19 stycznia br. — mija „Relacjom” pierwszy rok istnienia. Nie robimy z tej okazji fet, nie wydajemy okolicznościowego numeru. Czasy takie... Chcemy natomiast „przepowiedzieć” Wam, Drodzy Czytelnicy, i sobie historię „Relacji” odzwierciedloną w Waszych listach. Dlatego od numeru 5 (55) zdecydowanie zwiększamy powierzchnię zadruku przeznaczoną na publikację korespondencji. Przeczytacie listy nawiązujące do najważniejszych publikacji w Tygodniku Wschodnim „Relacje”. Wypowiedzcie się w sprawie naszego profilu. Przeczytacie, co sami sędzicie o „stalinowskim ukąszeniu”, o „białych płamach”, o problemach narodowościowych, o naszej społecznej, politycznej i gospodarczej codzienności.

Zapraszamy do lektury już za dwa tygodnie.

Redakcja

KOMUNIKAT

W związku ze znacznym wzrostem kosztów wydawniczych (szczególnie cen papieru i usług poligraficznych) zmuszeni jesteśmy podnieść cenę tygodnika „Relacje” do 800 zł za egzemplarz. W warunkach gwałtownego wzrostu cen i kosztów liczymy na zrozumienie tej konieczności ze strony PT Czytelników.

Lubelskie
Wydawnictwo Prasowe

CENA „RELACJI”

Od dziś tygodnik „Relacje” kosztuje 800 złotych. Co można za tę kwotę kupić? Podajemy dla przykładu: ok. 18 gramów wódki „Wyborowej” 38%, ok. 11 gramów tej samej wódki 45%, 0,33 litra benzyny 93-oktanowej, ok. 7 sztuk papierosów „Carmen”, 1 i 1/2 jajka, 1/2 palucha wyborowego, ok. 2 i 1/2 bułeczki wyborowej.

(Red.)

SPROSTOWANIE

W ostatnim numerze „Relacji” w informacji zatytułowanej „Fundusz Daru Narodowego” błędnie podaliśmy numery telefonów muzeów okręgowych przyjmujących dary. Podajemy jeszcze raz ich adresy i tym razem właściwe numery telefonów:

Biała Podlaska, ul. Dzierżyńskiego 12, tel. 341-28 lub 355-56.

Chełm, ul. Lubelska 55, tel. 526-93 lub 530-35.

Lublin, ul. Zamkowa 9, tel. 250-01 w. 3 lub 217-43 (poniedziałek, środa, piątek).

Zamość, ul. Ormiańska 30, tel. 710-83.

Za pomyłkę serdecznie przepraszamy zainteresowanych i Czytelników.

(Red.)

Przyjmujemy taniej - zamieszczamy szybciej

Od 18 bm. uruchamiamy w redakcji punkt przyjmowania ogłoszeń. Informujemy przy tym, że ogłoszenia są u nas tańsze niż w prasie codziennej:

- ramkowe o 1 tysiąc złotych za centymetr kwadratowy;
- nekrologi zlecane przez instytucje o 1 tysiąc za centymetr;
- nekrologi prywatne o 500 zł za centymetr;

● ogłoszenia drobne (handel, usługi, sprzedaż, praca, nauka i in.) — tańsze są o 1 tysiąc zł za słowo.

Gwarantujemy krótkie, niemal ekspresowe terminy realizacji.

Ogłoszenia przyjmujemy w godzinach 9—15 w siedzibie redakcji (Lublin, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 2, tel. 215-57 i 205-34).

(Red.)

Możemy mieć około 400 tysięcy bezrobotnych

NIKT dzisiaj nie jest w stanie przewidzieć, co nas czeka, jeżeli „plan Balcerowicza” okaże się niewypałem i eksploduje w sposób niekontrolowany. Ludzie z obawą patrzą w przyszłość. Wzrasta poczucie zagrożenia i niestabilności. Wprawdzie wicepremier Balcerowicz nie ukrywał, że rok 1990 będzie przełomowym w procesie uzdrawiania polskiej gospodarki, ale większość z nas najchętniej przespalałaby najbliższe 12 miesięcy. Żyjemy z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, odczuwając coraz boleśniej skutki dochodzenia do normalności.

SAMOCHÓD NA KOLKACH

W Republice Federalnej Niemiec produkcja benzyny w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosi 920 kg, na Węgrzech — 457 kg, a w Polsce niespełna 260 kg. Ropy, z której otrzymujemy benzynę, jest mało i nic nie wskazuje na to, że w najbliższym czasie będzie jej więcej.

Jakby na przekór tym prognozom, od 1 stycznia stacje benzynowe nie narzekają na nadmiar pracy. Zniknęły kilometrowe kolejki samochodów, a powtarzające się dotychczas powiedzenie: „do pełna” słychać rzadko wśród tankujących swoje pojazdy kierowców. Cena jednego litra benzyny „doszła” już prawie do 2500 zł. CPN nie jest w stanie przewidzieć, czy utrzyma się ona przez najbliższe kilka miesięcy. Przystają zatem dziwić kilkukrotnie zakupy paliwa, dokonywane raz w tygodniu. Bariera cenowa skutecznie zahamowała popyt na benzynę, która stała się towarem luksusowym.

Do tego trzeba doliczyć jeszcze koszty eksploatacji samochodu (np. błotnik do poloneza — 170 tys. zł), ubezpieczenie kwartalne, które w zależności od marki (krajowe i zagraniczne) i pojemności wozu waha się w granicach od 50 do 350 tys. zł, i wreszcie podatek drogowy, dochodzący wśród samochodów o największej pojemności do 265 tys. zł rocznie.

Janusz Skalski w „Kurierze Podlaskim” obliczył, że przyjemność posiadania „malucha” będzie nas kosztować miesięcznie około 140 tys. zł. Podobny rachunek przeprowadzony na polonezie zamyka się kwotą 400 tys. zł! Zapowiadany w tym roku spadek płac realnych o 25 proc. spowoduje dalszy wzrost kosztów utrzymania „czterech kółek”.

Co na to kierowcy?

Już od pierwszego stycznia kilkusetosobowe kolejki okupowały Wydział Komunikacji Urzędu Miejskiego w Lublinie. Ludzie, ściskając w rekach tablice rejestracyjne, pozbywali się marzeń o samochodzie dla przeciętnego człowieka. Polonezy, duże fiaty, mercedesy, motocykle, ciągniki i przyczepy „zawieszali” swą działalność na czas bliżej nieokreślony. Do 11 stycznia wyrejstrowano prawie 13 200 pojazdów na ogólną liczbę 60 tys.

Wynika z tego, że co piąty samochód lub motor został unieruchomiony, a ich posiadaczom pozostaje korzystać z usług Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, które, jak twierdził niedawno dyrektor MPK, „lata i drutuje” wyeksploatowane autobusy i trolejbusy. Ostatnia podwyżka cen biletów (na 240 zł) nie zapewni zwrotu poniesionych kosztów ani tym bardziej zakupu nowych wozów. Pozostają usługi TAXI (wskazanie licznika razy 100), ale cena za przejazd tylko w granicach Lublina przekracza niejednokrotnie 20 tys. zł. Sznur taksówek wyczekujących godzinami na klienta staje się coraz częstszym obrazkiem naszej rzeczywistości.

THIS IS SKY

Szacuje się, że w Polsce jest około 700 tys. odbiorców telewizji satelitarnej. „This is SKY” rozlega się w tysiącach mieszkań na lubelskich Łęgach. „This is SKY” to bliżej świata, jak zapewnia w cotygodniowym programie telewizyjnym Jerzy Klechta. „Rambo”, „Protector”, „Robocop”, „Dirty dancing”, czyli filmowe hity z satelity. Płacimy i oglądamy, o ile mamy telewizor. Cena kolorowego przekroczyła już 2 mln zł, a czarno-biały osiągalny jest już za kilkanaście „stasziców”. Kwartalna opłata za korzystanie z radia i telewizji (bez satelity) wynosi 9 tys. zł. To niedużo, jeśli uzmysłowimy sobie, że za bochenek chleba trzeba dać 2000 zł.

„Niedużo” jest jednak rzeczą względną. Wszystko zależy od tego, z jakiego portfela będziemy dokony-

wać opłat. Galopada cen najboleśniej dotknie tzw. stary portfel. Jego posiadacze wyrejstrowali w Lublinie w pierwszej połowie stycznia około 500 telewizorów, przedkładając razowiec nad uśmiechniętą twarz Wojciecha Rzeszczyńskiego. Pozostali przy radiowych porannych sygnałach dnia, za które kwartalnie zapłacą jedynie 900 zł. Wraz ze wzrostem opłat, wzrosły też kary za uprawianie telepajęczarstwa. I tak od nowego roku za nielegalne radio płacimy 72 tys. zł, a za telewizor 288 tys. zł, czyli cała emerytura z dobrym hakiem.

W 1980 roku wyłączałyśmy telewizory na znak protestu. Dzisiaj wyłączamy je z konieczności.

JĄ W SPRAWIE PRACY

12 grudnia 1982 roku weszła w życie ustawa o obowiązku zatrudnienia. Każdy, kto ukończył 18, a nie przekroczył 45 lat życia i pozostawał przez 3 miesiące bez pracy, obowiązany był zgłosić się do urzędu zatrud-

biurkach, bezradnie rozkładają ręce, kręcąc przecząco głowami. Pracy nie ma i prawdopodobnie nie będzie. Posada sprzątaczkę, salowej — to wszystko, co mają do zaoferowania. Do 12 stycznia zarejestrowano 200 bezrobotnych. Większość z nich to ludzie ze średnim i wyższym wykształceniem.

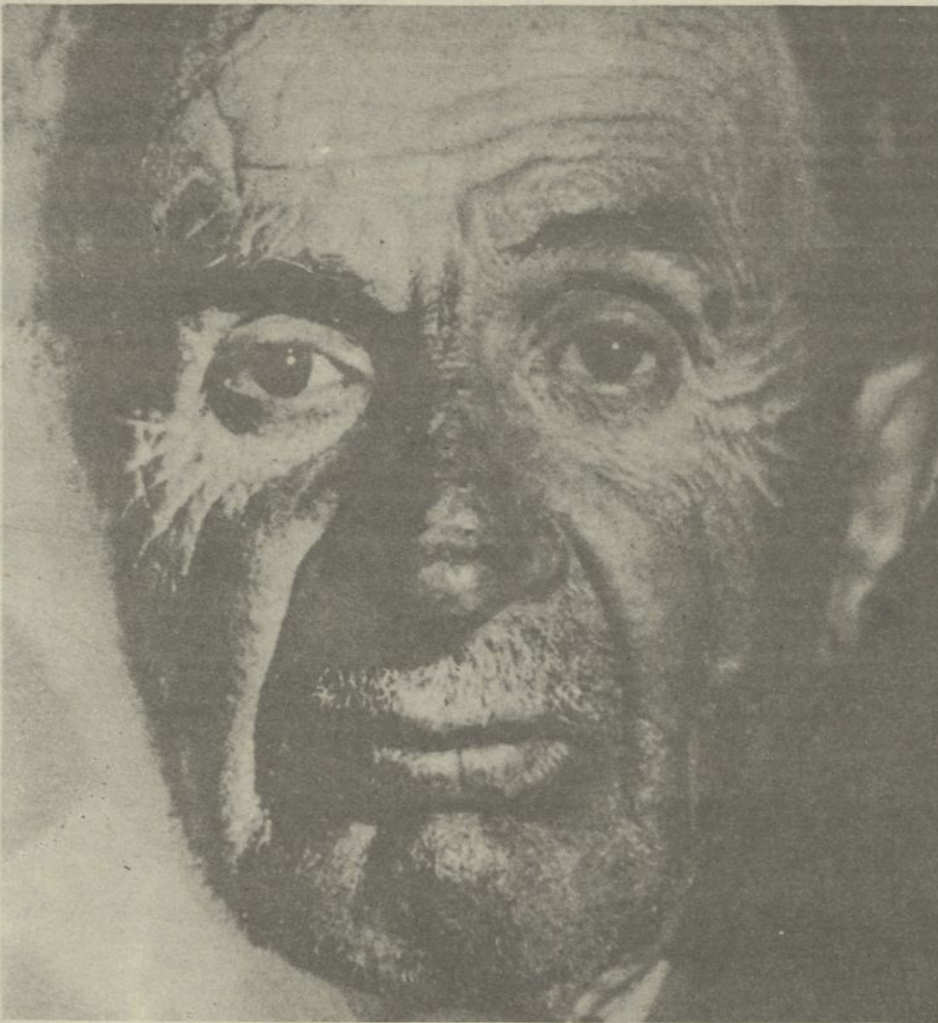
— Lublin jest na czwartym miejscu w kraju — tłumaczył dyrektor Piętas — pod względem „nasylenia” ludźmi z tytułem magistra. Oni będą mieli największe trudności ze znalezieniem pracy. Przychodzą, pytają i najczęściej odchodzą z kwitkiem.

To dopiero początek. Jeszcze nie zaczęły się masowe redukcje etatów. Przedsiębiorstwa robią pierwsze przymiarki. Przerost zatrudnienia w biurach odbija się echem w Urzędzie Zatrudnienia.

— Może ma pani coś w kadrach? — pyta kobieta, która po 20 latach pracy została bezrobotna. — Cokolwiek. Znam się na rachunkowości, skończy-

DWA LATA JAK DLA BRATA

Zbigniew Dzieciołek



Fot. Waldemar Stępień

nienia. W przypadku niedopełnienia tych formalności groziła kara do 3 miesięcy ograniczenia wolności lub określona przez odpowiedni urząd kara grzywny. To już przeszłość. 29 grudnia 1989 r. Sejm uchwalił dwie nowe ustawy, zmieniające radykalnie stosunek do pracy i amortyzujące, chociaż częściowo, skutki zmian ekonomicznych i gospodarczych w kraju.

— Takiej sytuacji jak teraz nie mieliśmy jeszcze nigdy — mówił dyrektor Wydziału Polityki Kadrowej i Zatrudnienia UM w Lublinie Edward Piętas. — Przez ponad 40 lat praca szukała ludzi. Nigdy odwrotnie. Jeszcze pod koniec grudnia 1989 r. dysponowaliśmy ponad 600 wolnymi miejscami pracy. Setki ogłoszeń wiszących na korytarzu, umieszczanych w prasie niktogo nie interesowały. W ciągu kilku dni wszystkie przedsiębiorstwa i zakłady wycofały swoje oferty. Mechanizm reformy zaczął działać.

W „zatrudnieniu” tłok jak w kolejce po mięso. Panie, siedzące przy-

albo kupi sobie 3 kg szynki, licząc wędzonkę po obecnych cenach. Obowiązuje jednak zasada, że zasilek nie może być mniejszy od najniższego ani większy od przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce społecznej.

Według rządowych ocen, możemy mieć w tym roku około 400 tys. bezrobotnych. Biorąc pod uwagę stan klęski mieszkaniowej, utrudniającej przenoszenie się z miasta do miasta, w wielu rejonach kraju bezrobocie odczuje boleśnie tysiące ludzi. Przekwalifikowywanie pracowników, bezpłatne kursy, roboty interwencyjne — to dopiero przyszłość. Czy nowa sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, poprawi dyscyplinę pracy? Nie wiem. Wiem natomiast, że coraz częściej zaczynają pojawiać się ogłoszenia typu: „Zamienie indeks na dluto — magister prawa”. W ostateczności pozostaje emigracja, ale tę lekcję już przerabialiśmy i to z fatalnym skutkiem.

BIEDA-ZUPKA

Do baru „Raclawickiego” przychodzi regularnie od 1 października. Zawsze cichutko staje w kolejce po talon na darmową zupę. Później prosi, żeby nie nalewać jej pełnego talerza, bo wszystkiego nie zje. Po co wlewać, niech inni zjedzą. Starsza kobieta zjada w pośpiechu ten pół-obiad, jakby chciała ukryć fakt, że musi zebrać po 30 latach pracy w służbie zdrowia. Głodowa emerytura zmusiła ją do przeknięcia wstydu i wyciągnięcia ręki po jałmużnę.

— Od ubiegłego roku — mówiła agentka baru, Kazimiera Ostrowska — wydajemy bezpłatne zupy, których koszt pokrywa Zarząd Miejski Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie. Początkowo przychodziło około 20 osób, teraz jest ich ponad 200, a codziennie przychodzą nowi. Nie zawsze z zup korzystają najbardziej potrzebujący. Wprawdzie siostry PCK nie odmawiają nikomu, ale jak widzę zdrowego mężczyznę, od którego załatuje alkoholem na kilometr, przepędziłabym na cztery wiatry.

Zupa „skalkulowana” jest w granicach 500—700 zł, a od października do grudnia ubiegłego roku Zarząd Miejski PCK wydał na ten cel prawie 3,5 mln zł. Jest to mniej więcej tyle, ile będą wynosić w tym roku cztery średnie miesięczne pensje.

Również Polski Komitet Pomocy Społecznej organizuje dla swych podopiecznych darmowe, lub półdarmowe obiady. W 1989 roku z obiadowych bloków skorzystało 1800 osób, a w tym roku, jak przewiduje sekretarz Zarządu Miejskiego PKPS, Adam Wierzbicki, liczba potrzebujących znacznie wzrośnie. Czy wszyscy przyjdą na biedę-zupkę?

Bary mleczne, pomyslane w przeszłości jako punkty taniego żywienia, były dotychczas dotowane przez państwo. Powoli jednak kolejne pozycje w jadłospisie „wypadają” z dotacji. Kurczy się lista dań, na które bary, dzięki rządowym dopłatom, nakładają tylko 25 proc. marży. Makaron z mlekiem za 200 zł, kasza jęczmienna z masłem za 400 zł należą do barowych rzadkości. Reszta potraw obłożona była do niedawna „normalną” marżą w wysokości 110 procent. W „Ogrodowym” można było zjeść pierogi z kapustą za 2300 zł, kopytka z sosem za 1700 czy ryż ze śmietaną za 1550 zł. W barze przy al. PKWN widziałem, jak starsza kobieta, po długim liczeniu zawiniętych w chusteczkę pieniędzy, poprosiła o ziemniaki z dodatkami samych buraczków. Zjadła, wylizując starannie talerz.

W trakcie rozmowy z kierowniczką baru „Ogrodowego” zadzwonił telefon. Przedsiębiorstwo Gastronomiczno-Handlowe podniosło marżę do 150 proc. Następnym razem dodatku do ziemniaków nie będzie.

Wobec tempa inflacji podwyżki uposażeń ludzi starych i schorowanych są urągająco małe i z reguły spóźnione, a żadna, nawet najlepsza bieda-zupka nie zastąpi godzinowych rent i emerytur. Mają do nich prawo, bo przez lata aktywności zawodowej płacili składki na fundusz emerytalny i nikt im nie robi laski, dorzucając grosze do starego portfela. Starość w nędzy jest okrutna. Jeszcze trudniej ją znieść, mając przepracowane 30 lat w państwie, które głosiło zasadę sprawiedliwości społecznej.

„Rok — nie wyrok” — pisał Jerzy Baczyński w „Polityce”, komentując zagrożenia, jakie niesie ze sobą rok 1990. Złośliwi dodawali: „Dwa lata, jak dla brata”. Oby się mylili.

PARASOLE I PARZYGNATY

Ciąg dalszy ze str. 1



Fot. Waldemar Stępień

pana jeden wyjątkowo się znajdzie. Bo gość musi się czuć tyleż potrzebny, co zależny.

Więc mnie przyjęto i zaczęła się nauka. Przede wszystkim zwracano uwagę na języki obce: niemiecki, francuski i angielski, dwóch musiałeś się uczyć nie dla parady, a trzeci traktowali dodatkowo. Zajęcia zaczynały się o trzeciej po południu, a do drugiej — od ósmej rano — chodziliśmy na praktykę.

Wykładowcami w szkole byli późniejsi moi znajomi, kierownicy z „Bristolu”, tak zwani maitre d'hotel, Grzędzik i Kałuski. Ci uczyli mnie sztuki podawania do stołu, ale równocześnie terminowałem jako typowy praktykant hotelowy. Pierwszym moim majstrom był niejaki Hubka, pod okiem którego przechodziłem wszystkie działy. Sprzątało się pokoje, czyściło się buty przyjezdnym, podawało śniadania i obiady, nosiło walizki za gośćmi. Czasem trafił się tips, ale przeważnie usługi praktykanckie były gratis.

Potem trafiłem do piwnic z trunkami, gdzie jedne wina leżały, inne stały i trzeba było nawet samemu rozpoznawać, na czym się te różnice zasadzają. Otóż lekkie wina, przykładowo mozelskie, powinny leżeć, a toli nie dłużej niż pół roku, a wina ciężkie, takie jak malaga, madera czy sanos, mogły leżakować do paru lat. Starsze wina przechowywano w pozycji leżącej, młode przez pewien czas trzeba było przechowywać na stojąco, dzięki czemu wszelkie zmetnienia osadzały się na dnie. I nie myśl, że o wszystkim dowiadywałem się od przełożonych. To kwestia zaskarżenia sobie zaufania, choć o niektórych mistrzach krążyły pogłoski, że nawet szampana otwierali nakrywając się wprzód przescieradłem. Kiper należał jednak do ludzi otwartych i jeśli chciałeś, wiele tajemnic mógł ci zdradzić.

Prawdziwy artysta nie chodzi jak kot

Na dwa miesiące przed zakończeniem szkoły, za zgodą spolegliwej dyrektorki naszej szkoły, podjąłem pracę w „Gastronomii”. Był to dobry lokal, którego tradycje podtrzymuje dziś bardzo przedsiębiorczy Ryszard Kielek, z tym że lokal stał przed wojną na samym rogu Jerozolimskich i Nowego Świata.

Tam zacząłem od funkcji piwiarza. Kochany, toż to cała filozofia! Piwo z fałszem, słomka, piwo z łopatką, a wszystkie beczkowe, z kranu. Do tego szkła odpowiednie, no i technika nalewania. Pamiętam, przychodził tam pewien brodaty pułkownik, który za zrobienie mankiecika generalskiego dawał więcej tip-su, niż kosztowało piwo, które zamawiał. Krótko mówiąc, należało tak nalewać napój, aby piana układała się w odpowiednie kółka, na podobieństwo generalskich szlifów.

Gdy zdarzyło się, że piwo było za zimne, podgrzewano je specjalnymi paluszkami metalowymi, wypełnionymi gorącą wodą. Dopiero po wojnie, gdy naprzymowano przypadkowej zbieraniny, wprowadzono zwyczaj dolewania wrzątku do piwa. Nie kunszt zaczął się liczyć, lecz miernota.

Do zadań subiekta-praktykanta należało także sporządzanie tartinek wprost na oczach konsumentów. Tu mogło być pomyłek, czy niezręczności, bo szybko znalazłbyś się po drugiej stronie kontuaru.

„Gastronomię” przedwojenną prowadziło trzech wyprawnych restauratorów i już samo przyjmowanie do pracy stanowiło nie lada sprawdzian. Ustawili oni wójt stół vis à vis bufetu w dobrym miejscu, skąd mieli widok na całą część konsumenci, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli. Byli to starzy koneserzy, smako-ze wysokiej klasy i tak siedząc przez cały dzień, kady się obsługiwać. Zamawiali przy tym najróżniej-

Ciąg dalszy na str. 5

„Społeczeństwo gminy prosi obywatela wojewodę o dopuszczenie do pracy w ośrodku zdrowia w Uchaniach lekarza Antoniego Karwana (...) Ten lekarz nie może dalej przesiadywać w sądach (...) Chcemy by nas leczył.”

Kolejną petycję, tym razem do Ministerstwa Zdrowia, podpisało 220 mieszkańców gminy.

WLISCIE do „Relacji” Antoni Karwan napisał: „Domagam się publicznego ujawnienia stosowania wobec mnie dyskryminacji. Od 1950 roku jestem stale dyskryminowany, uważany za tzw. «podczłowieka» (...) Od czerwca do końca listopada 1950 r. przeszedłem ciężkie więzienie śledcze w Łodzi z oskarżenia Generalnej Prokuratury WP jako «wrog», «dywersant», «szpieg» i «zapłuty AK-owiec». (...) Przeszedłem śledztwo z zastosowaniem tortur, elektryczności, itd. (...) W stanie beznadziejnym odwieziono mnie do rodziców do Łaszczowa. (...) Po dwóch latach leczenia przez doktora Janusza Petera zostałem przez niego zatrudniony w ośrodku zdrowia w Łaszczowie. Byłem po trzecim roku Akademii Medycznej. (...) Dzięki pomocy dr. Petera w 1964 roku zwróciłem się do Władysława Gomułki i zostałem zrehabilitowany i reaktywowany jako student. (...)

UWAŻANY JESTEM

Izabella Wlazłowska

Studia ukończyłem w 1969 roku. (...) Jestem prezesem Stowarzyszenia Żołnierzy AK Rejonu Uchania.

(...) Od 1 sierpnia 1987 roku nie pracuję. Jestem niedopuszczony do pracy. W hrubieszowskim brakuje lekarzy. Na moje miejsce w Uchaniach 2-3 razy w tygodniu karetką pogotowia dowozi się lekarza, gdy w tym czasie ja, siedząc na miejscu, nie pracuję, bo tak postanowili władcy gminy, ich koledzy z ZOZ w Hrubieszowie oraz władza wojewódzka w Zamościu”.

Doktor Antoni Karwan w grudniu 1973 roku zatrudniony został jako kierownik Gminnego Ośrodka Zdrowia w Uchaniach. Tam też zamieszkał razem z rodziną. W 1979 roku zwrócił się na piśmie do dyrektora ZOZ w Hrubieszowie, za pośrednictwem naczelnika gminy, o poprawę standardu i warunków mieszkaniowych lokalu, który zajmował. Naczelnik Tadeusz Zarek osobistym podpisem poparł prośbę doktora, o czym teraz w ogóle nie chce pamiętać.

Przez cały okres pracy doktor Karwan nie otrzymał ani upomnienia, ani nagany. Otrzymał za to Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

W Sądzie Pracy w Hrubieszowie świadkowie zeznali:

Maria F.: „Z racji pełnionej funkcji przeprowadziłam kontrolę w GOZ w Uchaniach. (...) Nie przypominam sobie, aby w ośrodku były jakieś szczególne zaniedbania lub nieprawidłowości. Nie przypominam sobie, by były jakieś skargi na pracę doktora Karwana jako lekarza, bądź kierownika GOZ. (...) Nie przypominam sobie, by były tam jakieś pozaplanowe kontrole podejmowane na skutek skarg”.

Jan U.: „Pełnię obowiązki inspektora ds. orzecznictwa. (...) Nie słyszałem, aby były skargi na pracę powoda jako lekarza”.

Maria G.: „Kiedyś pracowała u nas pielęgniarka Janina K. To ona właśnie namawiała mnie, żebyśmy byli przeciwko doktorowi Karwanowi. Mąż K. jest I sekretarzem Komitetu Gminnego PZPR w Uchaniach. Gdy ją przeniesiono do Mojsławic mówiła, że się zemści na Karwanie”.

Antoni G.: „W czerwcu 1987 roku jechałem do Zamościa, a razem z mną jechał doktor Karwan. Zaraz na drugi dzień zostałem poproszony do Urzędu Gminy i sekretarza partii. Sekretarz zaczął nagabywać, że jedź do Zamościa załatwiać sprawę doktora. (...) Odpowiedziałem, że jestem za krótki, by doktorowi coś załatwić. Wyczułem, że sekretarz jest niechętny doktorowi. (...) Jestem członkiem KG PZPR w Uchaniach. (...) Przy rozmowie był naczelnik gminy. Powiedział wówczas «my tu nie chcemy doktora Karwana»”.

WSZYSTKO zaczęło się od tego, że 11 marca 1982 roku doktor Karwan zawiadomił dyrektora ZOZ w Hrubieszowie, że „pielęgniarka Janina K. nie zgłasza się do pracy od 2 do 11 marca 82 r. Nie zgłasza również powodu nieobecności w pracy”.

Niedługo potem, po kontroli w Uchaniach, naczelną pielęgniarką ZOZ w Hrubieszowie oraz przełożoną pielęgniarek podpisały wniosek: „proponuje się przeniesienie pielęgniarki Janiny K. z dn. 1 czerwca 82 r. do pracy w Wiejskim Ośrodku Zdrowia w Mojsławicach”.

31 marca 1982 r. Egzekutywa Komitetu Gminnego PZPR w Uchaniach podjęła decyzję o cofnięciu rekomendacji partyjnej dla towarzysza Antoniego Karwana z funkcji kierownika GOZ. W uzasadnieniu decyzji podano: „Ciągłe konflikty z podległymi pracownikami, lekceważący stosunek do władz gminy, wnioski i postulaty mieszkańców z zebrań wiejskich dotyczące niewłaściwej

obsługi pacjentów, oraz samowolne podwyższanie standardu mieszkania w budynku GOZ”.

W ślad za Egzekutywą KG PZPR, w maju 1982 roku, Gminna Rada Narodowa również podjęła uchwałę o odwołaniu kierownika GOZ.

Ale kierownik GOZ pracował nadal i systematycznie nekwał władze gminy o świadczenie różnych powinności na rzecz poprawy warunków zdrowia i leczenia w gminie.

Chory w Ameryce

W 1986 roku doktor Karwan poprosił o zaległy urlop wypoczynkowy i pozwolenie na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Otrzymał 108 dni urlopu wypoczynkowego oraz zgodę na udanie się do Ameryki.

Urlop kończył mu się 12 lutego 1987 roku.

W Stanach Zjednoczonych doktor Karwan zachorował. Lekarze amerykańscy wystawili mu zaświadczenie potwierdzone przez Konsulat Generalny w Nowym Jorku. Do dyrektora ZOZ w Hrubieszowie oraz Głównego Lekarza Wojewódzkiego wysłany został telegram, że z powodu choroby jego przyjazd się opóźni. Lekarze amerykańscy zezwolili na lot samolotem dopiero w kwietniu. Dzięki pomocy konsula w uzyskaniu miejsca w samolocie, 25 kwietnia doktor Karwan wrócił do Uchań i podjął dalsze leczenie.

Inspektor ds. orzecznictwa lekarskiego uznał, że podstawą usprawiedliwienia nieobecności w pracy są zaświadczenia wydane przez lekarzy w USA. Doktor Karwan otrzymał wsteczne zwolnienie lekarskie oraz, ze względu na kontynuowane leczenie, dalsze zwolnienie lekarskie aż do 23 czerwca '87 r.

24 czerwca stawił się do pracy, ale drzwi gabinetu zastał zaplombowane.

Tymczasem przeciwko doktorowi Karwanowi toczyła się już machina napędzana... no, właśnie. Przez kogo?

Jak pamiętamy, urlop wypoczynkowy zakończył się doktorowi Karwanowi 12 lutego '87 roku. W dniu tym wysłane zostały z Nowego Jorku zaświadczenia lekarskie oraz podanie do dyrektora ZOZ o wydanie zwolnień komisyjnych z uwagi na chorobę i chwilową niemożność powrotu z USA. Wysłany też został telegram.

17 lutego dyrektor ZOZ w Hrubieszowie pisemnie powiadomił doktora Karwana, że „w związku z nieobecnością w pracy od 13 lutego (...) stwierdzam, że umowa o pracę z Ob. wygasła wskutek porzucenia pracy”.

W kolejnym piśmie dyrektor ZOZ napisał: „cofam Ob. decyzję o przydziale... i funkcyj-

nego położonego w GOZ, które Ob. powinien opróżnić do 31 sierpnia 87 r. Po upływie tego terminu wszczęte zostanie postępowanie egzekucyjne”.

Mimo uzyskania — po powrocie z USA — ciągłości zwolnienia lekarskiego doktor na swoje odwołanie wciąż otrzymywał odpowiedzi, że „decyzja o rozwiązaniu umowy o pracę przez porzucenie jest decyzją ostateczną”.

Podczas pobytu doktora Karwana na urlopie wypoczynkowym — na zastępstwo w GOZ w Uchaniach wyznaczony został doktor Józef Lebedowicz.

I tak zostanie zwolniony

JUZ 19 lutego na wspólnym posiedzeniu Komitetu Gminnego PZPR i GK ZSL „dyrektor ZOZ, tow. Jerzy Wikło ustosunkował się do problemów opieki zdrowotnej w Uchaniach stwierdzając, że umowa o pracę z doktorem Karwanem została rozwiązana 17 lutego br., a jeżeli doktor Karwan po powrocie z zagranicy prawnie sprawę wygra, to i tak zostanie zwolniony w trybie 3-miesięcznego wypowiedzenia. W czasie dyskusji wysunięto wniosek cofnięcia rekomendacji doktorowi Karwanowi”.

14 kwietnia Egzekutywa KG PZPR udzieliła akceptacji na stanowisko kierownika GOZ w Ucha-

Hrubieszowie, na które to oddelegowuje go w okresie wypowiedzenia.

Dzień wcześniej Wincenty Sala, przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia ZOZ w Hrubieszowie poparł dyrektora stwierdzając, że: „po zapoznaniu się z dokumentacją i wnikliwą analizą problemu uważa, że postawione argumenty są zasadne... Obecne wypowiedzenie umowy o pracę związane jest z negatywną opinią władz gminnych: cofnięcie rekomendacji partyjnej, informacja komisji GRN o pracy doktora Karwana”.

Na sądowej sali

DOKTOR Karwan nie przyjął tego wypowiedzenia i nie podjął pracy jako młodszy asystent w poradni w Hrubieszowie. Czekał na orzeczenie Sądu Pracy. 19 sierpnia 87 r. dyrekcja ZOZ w Hrubieszowie rozwiązała z nim umowę o pracę bez wypowiedzenia z powodu niesprawiedliwiej nieobecności w pracy od 1 sierpnia.

Wydany dzień wcześniej wyrok Sądu Pracy w Hrubieszowie oddalił powództwo doktora Karwana o przywrócenie do pracy, odszkodowanie oraz wypowiedzenie warunków pracy i płacy.

W uzasadnieniu sąd konkludował: „(...) wynika jednoznacznie, że doktor Karwan nie posiada ak-

ZA „PODCZŁOWIEKA”

niach doktorowi J. Lebedowiczowi, który 15 kwietnia został przez dyrekcję ZOZ obsadzony na tym stanowisku. Jednocześnie Ryszard Kotowski, I sekretarz KG PZPR pisemnie poinformował dyrektora Wikło o cofnięciu rekomendacji doktorowi Karwanowi.

Wiesław Cichoń, kierownik Wydziału Społeczno-Prawnego KW PZPR w Zamościu, gdzie doktor Karwan zwrócił się o pomoc w piśmie skierowanym do Głównego Lekarza Wojewódzkiego poucza:

„W dniu 30 czerwca 87 r. tut. wydział otrzymał pismo z Komitetu Gminnego PZPR w Uchaniach sugerujące, że funkcję kierownika GOZ w Uchaniach powinien pełnić lek. Józef Lebedowicz.

Jednocześnie przypominamy, że w dn. 28 czerwca br. odbyło się w tut. wydziale spotkanie tow. dyrektora, władz gminnych i kierownika ZOZ w Hrubieszowie, na którym ustaliliśmy następujący tok postępowania: po wystąpieniu Egzekutywy KG PZPR potwierdzającej cofnięcie rekomendacji, tow. Karwan zostanie odwołany ze stanowiska kierownika GOZ w Uchaniach”.

Tegoż samego 30 czerwca Józef Rudnicki, przewodniczący Komisji Kultury, Oświaty i Spraw Socjalnych GRN w Uchaniach stwierdza: „Komisja zawnioskowała o usunięciu Antoniego Karwana z zajmowanego stanowiska. Jako powód podaje się: konflikt z podległymi lekarzami, przyjmowanie pacjentów bez kolejki, doprowadzenie do zniszczenia instalacji wodno-kanalizacyjnej i c.o...”

Zeznający przed Sądem Pracy Tadeusz Zarek, naczelnik gminy w Uchaniach powiedział: „była skarga doktor J., że odciepił jej dopływ ciepła do gabinetu. Gdy udaliśmy się do ośrodka, okazało się, że zawór był zakrecony. Doktor Karwan był chyba wtedy na urlopie, ale przebywał na terenie ośrodka. (...) Gdy pracowała doktor B. zgłaszała też skargę na doktora Karwana, że nie wydał jej fartuchów zabranych poprzednio do prania”.

Tymczasem po licznych interwencjach dyrekcja Wydziału Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego w Zamościu „poszła po rozum do głowy” i uświadomiła dyrektorowi ZOZ w Hrubieszowie, że jak na razie doktor Karwan, po wykorzystaniu urlopu wypoczynkowego, ma zachowaną ciągłość zwolnień lekarskich wydanych zgodnie z obowiązującymi przepisami, więc należy przywrócić go do pracy.

30 lipca 87 r. dyrektor Wikło uznał, że stosunek pracy z doktorem Karwanem nie uległ rozwiązaniu na skutek porzucenia pracy i przyznał mu zasiłek chorobowy oraz wynagrodzenie do 31 lipca.

Jednocześnie w kolejnym piśmie wypowiedział mu z dniem 1 sierpnia (ze skutkiem 3-miesięcznym) warunki umowy o pracę w części dotyczącej stanowiska kierownika GOZ, miejsca pracy i wynagrodzenia. Zaproponował mu od 1 listopada stanowisko młodszego asystenta w poradni w

ceptacji ani władz gminnych, ani miejscowego społeczeństwa. Powodowi cofnięta została rekomendacja. Oczywiście cofnięcie rekomendacji nie ma w sprawie najmniejszego znaczenia. Z pisma komisji GRN wynika jednak, że powód swoim zachowaniem doprowadził do konfliktów z podległymi lekarzami, przyjmował pacjentów bez kolejki oraz doprowadził do zniszczenia instalacji”.

Sąd Wojewódzki w Lublinie uchylił ten wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania sądowi w Hrubieszowie.

Interesujące jest wyjaśnienie dyrektora Wikło, przesłuchanego w charakterze strony pozwanej, w którym to sprecyzował, na czym polegała potrzeba przesunięcia doktora Karwana do pracy w poradni w Hrubieszowie. A mianowicie: poradnia ta cierpi na poważne braki kadry lekarskiej. Na 30 lipca 87 r. w poradni przewidzianych było 8, a obsadzonych było jedynie 5 etatów lekarskich. Ponadto, od 15 kwietnia na stanowisku kierownika GOZ w Uchaniach zatrudniony został doktor Lebedowicz, a więc stanowisko, na które przywrócenia domaga się doktor Karwan jest już po prostu zajęte.

Z pisma mieszkańców gminy: „Obecny lekarz dojeżdżający z Hrubieszowa zatrudniony jest w dwóch ośrodkach zdrowia, co drugi dzień w każdym z nich. Nie jest w stanie udzielać pomocy doróżnej. (...) Doktor Karwan nie pracuje już od dwóch lat wskutek osobistej złośliwości sekretarza partii i naczelnika gminy, którzy myślą i postępują jak za czasów stalimowskich (...) Jak ten lekarz ma dalej żyć?”

14 czerwca 1988 roku Sąd Pracy w Hrubieszowie ponownie oddalił powództwo doktora Karwana o przywrócenie do pracy.

Aktualnie sprawa ta, w trybie rewizyjnym, rozpoznawana jest przez Wojewódzki Sąd Pracy w Lublinie.

„Jestem już po sześćdziesiątce — pisze doktor Karwan. — Do emerytury pozostało mi dwa lata. Sprawa o eksmisję z mieszkania została przez sąd zawieszona. Sprawa o rzekome niedobory, o które ZOZ mnie posadził, została przeze mnie wygrana. Jak długo jeszcze będę swoje życie spędzał na sali sądowej, zamiast leczyć miejscowych chłopów? Jestem niewygodny, bo w GOZ w Uchaniach pracuję: kuzynka sekretarza partii, szwagierka sekretarza partii, kurna sekretarza partii... Okazuje się, że z powodu braku lekarzy mogą pracować wszędzie, tylko nie w Uchaniach, czyli tam, gdzie mieszkam”.

16 listopada 1989 r. doktor Karwan otrzymał bardzo interesujące pismo: „W odpowiedzi na pismo Ob. w sprawie dopuszczenia do pracy, dyrekcja ZOZ w Hrubieszowie proponuje Ob. pracę na stanowisku kierownika wiejskiego ośrodka zdrowia w Przewodowie z dn. 1 grudnia 1989 r. Mieszkanie zapewnia dyrektor PGR w Przewodowie”. Podpisał dyrektor ZOZ, Jerzy Wikło.

PARASOLE I PARZYGNATY

Ciąg dalszy ze str. 4

sze potrawy i używki, przypatrując się twojej pracy. A jakież wymagania? A to chlebek, a to sosik, a to sztuka mięsa z rurą, rura w barszczu polskim, cielęcina w papilotach, trunki, wety. Już po jednym dniu wiedziałeś, czy cię zaangażowano. Powiesz, że niby to proste dla zdolnego parasola, a czy ty wiesz, że tu liczył się nawet chód i ukił? Prawdziwy artysta nie chodzi ani za cicho, jak kot, bo nie może zaskakiwać gościa swoim podejściem, ani też za głośno.

Po takim przeszkoleniu wróciłem do „Bristolu”, gdzie zacząłem pracować jako brudziarz. W hotelu tym kuchnia znajdowała się na dole, restauracja zaś na piętrze i my, młodzi, świeżo upieczeni absolwenci szkoły rocznej, biegaliśmy w porcjami z dołu na górę. Choć jeszcze na salę wchodzić nam nie pozwalano. Po zaliczeniu praktyki jako brudziarz zostałem białym, czyli tym, który mógł już pomagać mistrzom przy obsłudze gości. Nie każdemu się to udawało, i Worcell w „Zaklętych rewirach” trafnie to oddał.

Zacząła się wojna, a ja ciągle w „Bristolu” doskonaliłem swój fach. Przychodzili tam wówczas znani artyści, dziennikarze, osoby z palestry, dobrze sytuowane mieszczaństwo. Trzeba więc było stawać na baczność, kłaniać się w specjalny sposób, a o paleniu podczas pracy w rewirze nie było mowy. Później przeszedłem na tak zwane gabinety. Była to specjalna sala bankietowa, gdzie początkowo zachodzili m. in. Loda Halama i Parnell. Później Niemcy zabronili gośzczenia tam naszych i sami się na przyjęciach w tej sali panoszyli.

No, poziom obsługi był wyższy niż na sali restauracyjnej i tylko nielicznym udawało się tam pracować. Mnie się udało i doczekałem balutacji, czyli wyzwolenia na kelnera. Gabinetem zarządzał wtedy dyrektor Napierała, znany gastronomik. Dano mi do obsługi jeden stół z gośćmi i znowu obserwowano moją pracę. Po balutacji wolno mi już było nosić frak ze złotymi guzikami, ozdobionymi znakiem firmowym „Bristolu”. Istniał taki zwyczaj, że wyzwolenicy trafiali do koktail-baru nocnego, którym kierował maitre d'hotel — Gronowski.

Nie było parasola, któremu udało się wymigać od obsługi kierownikowi i jego znajomym, bywałcom, jak on sam, najlepszych stołecznych lokali. Przechodziło się przez tę przeszkodę jak przez grype. Siedem dni albo siedem tygodni. Kurowaliśmy się nocnym życiem, podziwianiem kabaretów, fordanserek i eleganckich dam z warszawskiego establishmentu, o oczach jak gazowe latarnie, mrugających porozumiewawczo, gdyś w nie wejrzął dotkliwie, głęboko. Na zewnątrz czaił się strach, a „Bristol”, jakby na przekór szaleństwu wojny, bronił swojej niezależności. Taka gastronomiczna barykada z „lakumparsitą” w roli głównej.

Wybuchło Powstanie i na inne barykady wielu z nas poszło. Już nie przed gośćmi, lecz przed kulami głowę się schylało. Ale krwi nie odmawiał nikt...

To bankiety, balety, białe serwety, kordiały...

Po Powstaniu zaniósł mnie do Krakowa, do tamtejszej dworcowej „Mitropy”, ale prawdziwego warszawiaka na centusia nie przerobisz, więc jeszcze przedzie wróciłem na swoją ukochaną Pragę. Zaraz też udałem się na ulicę Małą, pod dziesiątą, gdzie spotykały się wszyscy młodzi i starzy gastronomicy. Była to pierwsza siedziba naszego związku zawodowego, lokal najzupełniej prywatny, u Kostaniaka, znanego w naszych kręgach bankietmistrza. A tam powiadała: „Skończyły się już, synku, fraki i białe rękawiczki, burzua finita! Teraz będzie kociołek i zupka, po równo, sprawiedliwie, bo naród dość już ma sanacyjnego warcholstwa”. Pomyślałem sobie: frak na naftalinę jeszcze za świeży, wiej Heniu, gdzie pieprz nie rośnie, a najlepiej na Wybrzeże. To także Polska, tyle że jakby bardziej zachodnia, światowa. Tankowce, pasażerskie, rudowęglowce, Szwedzi, Anglicy, Polonusi czasem. Tylko tam twoja sztuka, twój artyzm się obroni.

Zachodzę do „Grand-Hotelu” w Sopocie i co widzę? Dyrektor Napierała (Wojciech mu było na imię) z warszawskiego „Bristolu”! „Spadłeś nam z nieba — wola — jest robota dla ciebie”. Sie masz, sie masz i na rewir, już jako jego patron.

Znów powróciła prawdziwa sztuka obsługi: te bankiety, balety, białe serwety, kordiały, likwory. Mięsa rentowe i kaplonie, palestra i stan urzędniczy. Goście cylindrowi i herbowego pochodzenia. Znowu wróciły dobre maniere, ład i porządek. Wrócił dobry interes. Bo na całym świecie, gdziekolwiek pojawia się kształcony w swoim fachu restaurator — angielski, francuski czy chałesowy — tam zawsze kwitnie biznes i powszechne zadowolenie.

Przypadek kolejny zrzucił, że pojawił się w naszej oazie intendent z „Batorego”, który wtenczas cumował w Antwerpii. Pan intendent był to znany praktyk i koneser, z dyplomem szwajcarskiej szkoły gastronomicznej, Adamski się nazywał, gość w naszym zawodzie bywały. Lubił dobrą kuchnię, a jeszcze bardziej fachową obsługę. Kierownik sali, Mrówka-Mrówczyński, powiada: „Widzisz pan tych dwunastu,

Ciąg dalszy na str. 6

PARASOLE I PARZYGNATY

Ciąg dalszy ze str. 5

nicznym apostołów? To jest Adamski wraz ze swoją świtą, przyjechali kaperować na stewardów, więc jeżeli chcesz pan, panie Heniu, popływać naszym transatlantykiem, to obsługa musi być taka, jakbyś samego cesarza japońskiego tu przyjmował”.

Faktycznie, tego dnia wychodziło mi wszystko jak w książkach stoi napisane: uklon, popielniczka, panowie sobie życzą, ekskuz mi, file minia raz, ryba z limonią — tylko z muszkietów na wiat strzelać! Po przyjęciu zwraca się Adamski do mnie: „A pan byś nie chciał pływać na »Batorym«?” Też pytam, myślę sobie, więc on już z myśli moich czyta i mówi, że niebawem jego komisja prowadzić będzie specjalny egzamin kwalifikacyjny. Wystarczy, abym się jej przypomnieli jako kelner z „Grand-Hotelu” i powinno już być po bólu. Poszedłem, widzę, siedzą ci bonzowie, a ja chłopczek drobny, szczupła szyjka, co najwyższe na pomocnika dobry, ale kiedy się im przypomniałem, że od pana Adamskiego polecony jestem, od razu wpisali: pierwsza klasa. Czuję się jak olimpijczyk, co najmniej.

Kapitańskie przyjęcia

Po różnych perypetiach z komunikacją, bo zima w czterdziestym siódmym siłą mnie w kraju zatrzymać chciała, wylądowałem w Antwerpii. Początki nie były łatwe, bo i pokład nieraz się sprzątało, i bulaje, i pomieszczenia gastronomiczne. Ci, którzy się ze mną na stewardesów załapali, a byli to wielkopolscy panowie z facjatami jak silacze, sygnetami, z manierami, przyglądali się mnie, warszawskiej chudzinie, podejrzliwie, co też ten junosza z Pragi potrafi. A ponieważ potrafiłem, dano mnie do sali, gdzie były dwa krycia, znaczy dwie zmiany gości.

Zachodził tam również kapitan Cwikliński, panisko, jak się patrzy i fachman, kochał się z nami, szlifował mnie wtedy ostro, sprawdzał nawet talerze czy należycie wypolerowane, a że w pracy rączy byłem, awansowałem na stewarda kapitańskiego. Zaszczycił nie lada, ale i obowiązków niemało. Zaczynały się te kapitańskie przyjęcia wieczorami, kończyły późną nocą, menu obfite, więc wciąż na nogach, a przecież do obsługi miałem jeszcze jeden dodatkowy stół, dla normalnych pasażerów. Tych obsługiwało się już od rana.

Porządek był ciągle jakby przedwojenny: biała koszulka, paznokcie przycięte, fryzura skromna choć wymowna, kelnerski ręcznik na przedramieniu, pachnidła delikatne, gantki zawsze białe. Czuję, że jestem na scenie, grasz najlepszą rolę, zawsze gotowy do wielkiej improwizacji, byle tylko gość twój był ukontentowany. A jeśliś trafił na takiego, który umiał twą sztukę docenić, nią się delektować na równi z bulionami, frykasami i sznyclami po wiedeńsku, wiedziałeś, że już nic piękniejszego tego dnia wydarzyć się nie może. W portach stewardzi nosili za takimi pasażerami ich bagaże. Za tips, to prawda, drobny, wszakże twardy, szylingowy, centowy, dolarowy.

Widywało się jednak i takich, którzy tylko raz swoją rolę koncertowo zagrać potrafili: na państwowym egzaminie. Ale gdyś się ich robocie na co dzień przypatrywał, gotów byłbyś przysiąc, że w szynkwasię terminowali i kramarz mistrzowskie papiery im wystawiał. Na takich złość mnie dziś jeszcze bierze, niechby w diabły precz szli i sztuki naszej gastronomicznej z partaniją nie mieszała. Nie czując jednak nad sobą prawdziwej zwierchności, obyczajność zawodową tracą, „klient” na gościa mówią bez żadnego szacunku, kierowników sali w kieszeni trzymają i tak kulturę usługiwania do stołu postępują.

Jakiej by trzeba duchowej przemiany, jakiego ekonomicznego rygoru, aby na nowo parasol głowę wysoko podniósł w poczuciu sztuki, którą uprawia, misji, którą wypełnia... Póki się jednak pieniądze ponad ludzką godność wynosi, póty zbytek kazi pożytek, jak się drzewiej mawiało.

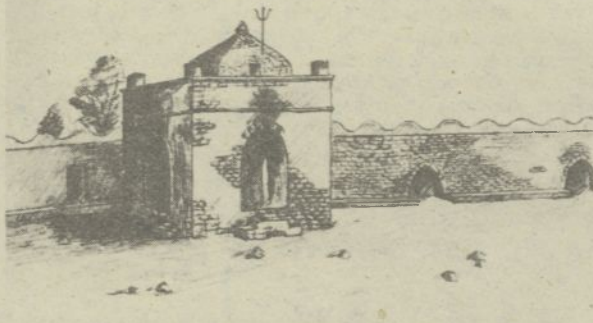
„Zdejmij z gościa spodnie”...

W pięćdziesiątym wróciłem do Warszawy i, jakby wbrew własnej woli, trafiłem do typowej praskiej knajpy. Widać los kazał mi przejść i przez ten czysciec. Pracowałem tam dość długo, stając co dzień twarzą w twarz ze smarowozami, drobnymi pijaczkami blochającymi po bramach, którzy żyli od butelki do butelki. Dawał takim sztucce, choćby i drewniane, patrzysz za chwilę: nóż śledzia zjadł, leżał, nie ma, pod ziemię się zapadł. Było to pogorzeliem dla prawdziwej sztuki podawania potraw, a w wielu innych trafiłbym do podobnie. Chyba tylko „Bristol” i „Europejski” bronili się przed spopolitowaniem i nowymi obyczajami stołu.

Potem pracowałem w lepszych lokalach. „Kongresowa”, kierownik sali i wiceszef „Rycerskiej” na Starym Mieście, kierownik, który objął „Krokodyla”, instruktor szkolenia kelnerów w zjednoczeniu, agentowy szef „Staropolskiej”, kierownik „Adrii”... Już „Staropolską” prowadziliśmy wspólnie z żoną, jako że kobieta ma więcej cierpliwości do buchalterii, a mężczyźni łatwiej radzić sobie z cynkarzami, znaczy marudami i pszczołkami. Taka przyjdzie, zajmie miejsce i tylko kustruje frajerów; złotówkowy — weg, dolarowy — gut. Nieważne, że dubiel i w rubatce od tygodnia nie pranej. Ważne, że akustyczny, wa-

Dokończenie na str. 7

Azerbejdżan



Rys. Małgorzata Kulik

WUPALE, dymie spalin i ryku klaksonów szukamy wylotówki w kierunku Surachanu. Sam ośrodek hinduskich czcicieli ognia przypomina coś pośredniego między klasztorem a fortecą; jedna brama w wieży prowadzi na dziedzińiec,

w którego centralnym punkcie stoi główny ołtarz z wiecznie płonącym ogniem. Ma formę czterech arkad usytuowanych na planie kwadratu i przykrytych jedną kopułą. W czterech rogach zadaszenia kominy, z których niegdyś też wydobywały się płomienie — najświetsze miejsce znajdowało się od kopuły, na niewielkim podwyższeniu. Jeżeli żar pozwoli, można wejść po trzech stopniach przez którąkolwiek z arkad.

Obok, w bezpośrednim sąsiedztwie, pół metra nad ziemią umieszczono okrągły kamień — przy nim też modlono się. Wewnątrz nieregularnego wieloboku murów wybudowano cele dla kapłanów, pielgrzymów, stajnie dla osłów, w których do dziś zachowały się kamienne kółka do mocowania zwierząt. Z wyposażenia zachowało się niewiele — miedziane naczynia powleczone cyną, kawałki dywanu, który rozścielany bezpośrednio na ziemi służył za łóż. Wyznawcy zoroastrizmu stosowali specjalne umartwienia, spali np. na kamiennych ławach posypanych niegaszonym wapnem — jak reagowało spocone ciało, nietrudno sobie wyobrazić.

Cele, na ogół puste, z ziemią zamiast podłogi sprawiają przygnębiające wrażenie. W kilku z nich urządzono ekspozycje: są zdjęcia przedstawiające osiemnasto- i dziewiętnastowieczny wygląd, obiekty, wykaz nazwisk sławnych ludzi niegdyś zwiedzających to miejsce — ich słowa albo przysięgi, albo kreowana była nieco na wyrost, z setki nazwisk zostawiłbym dwa, trzy...

W ścianach, na wysokości półtora metra, czasem niżej, widoczne niewielkie, okopcone wnęki,

z XIX-wiecznych reprodukcji wynika, że ognie płonęły w każdym pomieszczeniu (na sztychach półnagie postacie z turbanem na głowie medytują w pozycji kwiat lotosu). Interesuje mnie techniczna strona wytworzenia dosyć dużego słupa ognia w każdej z cel. Zaczepiam przewodnika.

— Ziemia tu taka — odpowiada — że wystarczy wziąć kawałek drążka, wywiercić nim dziurę w ziemi i podpalić. Tu wszędzie jest gaz.

W wejściowej bramie kiosk z pamiętkami. Sprzedawca bierze mnie za Hiszpana, kiedy dowiaduje się, że jesteśmy z Polski, podpuszcza mnie z uśmiechem:

— Tam u was bardzo kochają komunistów.

— Wątpię, czy dziś oni sami siebie lubią.

— A ten tam też komunistą!

Odwracam się. Milicjant w białej bluzie kręci głową, jakby chciał zaprzeczyć.

— Za co ich lubi — mówię pojednawczo — rozłożyli gospodarke, wpędzili ludzi w biedę. Pan takich lubiłby?

Iskander wiezie nas do Ramany, gdzie znajduje się XIV-wieczny zamek. Właściwie wracamy kłuczając — miejscowość leży na obrzeżach Baku.

Podobnie jak świątynia w Surachanie zbudowany jest z piaskowca o barwie miodu. Wewnątrz donżon na planie kwadratu z wypuszczonymi w narożach półwieżkami. Całość do złudzenia przypomina romańskie zamczyska Tudorów. Wcho-

MIEDZY PRAWDĄ A

Adam W. Kulik

dziny do środka przez niewielką furkę, żadnych śladów bramy wjazdowej. W jednej z narożnych wieżyczek donżonu kręci się spiralnie klatka schodowa o karkołomnie wysokich stopniach. Postrawiam się wspiąć. Bieda w tym, że na każdym piętrze trzeba zrobić dwa kroki po podłodze, której nie ma. Zostały tylko rzadkie brusy, na których niegdyś była. Mimo sprzeciwów współpracowników osiągam górny taras wyłożony, o dziwo, piaskowcem.

Szukający widok: zamczysko na wzgórku dzieli od Baku kilkukilometrowy pas odpychającego rumowiska. To stojące i leżące szyby wydobywcze, sterty rur i innego żelastwa, poprzedzielane siatką dojazdowych dróg i prostokątami brudnej wody. Z drugiej strony do obronnych murów przylgnęła wioseczka z kamiennymi obwarowaniami domów, ogrodów i podwórczek. Dwa czasy, dwa światy.

METR od muru przycupnęła niewielka bryła z drzwiami zamkniętymi na skobel — meczet. Za nim kamiennie ogrodzenie cementarza — pomniki stawia się z piaskowca, ale są też i z czarnego marmuru. Na jednym z nich wyrity wizerunek człowieka skupionego nad książką, na innym młody mężczyzna opiera się o auto. Zdarzają się stelle malowane na niebieski — żalobny w islamie — kolor.

Na podwórku zamczyska poniewierają się gliniane skorupy, biorę dwie na pamiątkę. Żadnych śladów budynków mieszkalnych, stajni, za to mury stoją jakby postawione wczoraj, a przecież mają 700 lat! Co za klimat.

SZORUJ, CHŁOPIE, DO KOLEJKI

Henryk Sienko

W 39 NUMERZE „Relacji” z 12 września ukazał się mój tekst pt. „Chłop oddaje, a chłop?”. Pisałem w nim o zwlekanii z wypłatami pieniędzy za sprzedawane państwu ziemniaki. „Ziemniaki to jeszcze nic, zobaczysz pan, co się będzie działo z burakami” — przepowiadali wówczas rolnicy z Borzechowa.

Była druga dekada listopada. Rolnicy od kilku tygodni stałi całymi nocami przed bankami, żeby odebrać pieniądze za buraki. Wtedy spisałem poniższy pamiętnik.

PONIEDZIAŁEK, NOC Z 19 NA 20 LISTOPADA

GODZINA 1.00.

„No, bracie, jak chcesz mieć grosz, to wstawaj i szoruj do kolejki” — nie spałem już od trzech godzin, ale i mama czuwała, żebym nie przegapił.

GODZINA 1.30.

Wyruszam ze Strzeszów. Do Niedzwicy mam ponad 5 kilometrów marszu. Jest mroźnie, wieje ostry, pałający w policzki wiatr. Z Lublina w kierunku Kraśnika smigają ciężarowe samochody, ale żaden się nie zatrzymuje. Natomiast każdy mijający mnie samochód osobowy, to potencjalny rywal w kolejce...

GODZINA 4.30.

Jestem na miejscu. Przed drzwiami banku tylko jedna kobieta, ale mówi, że jest już piąta w ogonku. Pierwsza przyszła tu o trzeciej, teraz grzeje się w kotłowni sąsiedniego sklepu spożywczego. Kobieta jest tu już po raz czwarty. Poprzedniego dnia odeszła sprzed kasy o jedenastej; pół godziny potem konwój przywiózł pieniądze, ale starczyło

podobno dla około 30 rolników. Omal nie doszło do rękoczynów. Na szczęście chłopci się opamiętali, ale w Borzechowie były bójki, być może będą nawet sprawy w sądzie...

GODZINA 5.00.

Jestem w kolejce 7. „Osemkę” rezerwuję dla sąsiada, wczaka mleka ze Strzeszów. Po chwili pojawia się młody chłopak i starszy „wesoly” rolnik; ten przyjechał z kolejki po węgiel, żeby zająć kolejkę za pieniędzmi. Za węglem stoi od dziesiątej wieczorem. „Tylko, cholera, jak tu wykombinować, bo jak nie weźmę forsy za buraki, to czym zapłacić za węgiel?” — rolnik z Niedzwicy jest tu po raz drugi. Słychać już pianie kogutów...

GODZINA 5.15.

Z kotłowni wypelzają ci, którzy byli tu o trzeciej. Pierwszy jest Kwiecień, sąsiad ze Strzeszów. Zajął też kolejkę po płyty październikowe. Tam też jest pierwszy.

„Wychodzimy tu jak nocne szczury” — mówią jeden z rolników.

„Kilka dni temu drewno poszło w górę trzy razy! — informuje Kwiecień. — Był tu wczoraj chłop, co buduje dom. Jakby wziął grosz za buraki przy dostawie, to »otwory«, znaczy się ośna do mieszkania, kupiłby za 5 i pół miliona, a dzisiaj muszę już zapłacić 16 i pół. Ma do odebrania dziesięć. Miało mu zostać pięć, a teraz musi dołożyć drugie pięć. Jak to dzisiaj mówią? Pięć melonów”.

„Płakał jak się dowiedział, że drewno zdrożało!” — dodała kobieta z kolejki.

GODZINA 6.00.

Przed bramą do banku jest już około 20 osób. Ludzie gadają.

Kobiety przynoszą wodę, pijamy z jednej miski wszyscy. Pytam, czy mogę zwiedzić meczet.

— Nie. To grzech.

Zasady islamu nie pozwalają wyznawcom innych religii wejść do świątyni.

— A cementarz? — nie dają za wygraną.

— Tam są zmije.

Zmije mają być i w skalach otaczających zamek, ale postanawiam nie rezygnować. Myszkuje my poszukując interesujących kawałków ceramiki. Dzieci zaczynają być nachalne — ile razy widziałem to na filmach? — co krok wypychają mi do ręki kawałki talerzy, ceramicznego śmiecia. Nie zraża ich, że natychmiast wyrzucam.

W centrum Baku Arif zabiera nas na bazar. Uliczka wchodzi lekko pod górę, wzdłuż niej trzy rzędy handlujących. Z rzadka towar znajduje się na kramach, najczęściej bezpośrednio na asfalcie. Sprzedawcy na nasz widok zachwalają specjalnie winogrona, kawony, melony. Jest tu taki nastrój, że chce się wydawać pieniądze. Kupuję kilogram winogron i pojedając przeciskamy się wzdłuż sprzedających. Kawony ułożono w kilkumetrowej szerokości i długości przynny, niemożliwe, żeby uprzętało je co wieczór — ludzie muszą tutaj być przez całą dobę! Podobają mi się chłopak od kawonów, targujemy się i za rubla kupuję na oko dwu-

NIENAWIŚCIA

kilogramowego arbuza. Jestem bardzo zadowolony, ale Arif nie podziela mojej radości. Łapie nabytek i oddaje sprzedawcy. Tamten, zażenowany oddaje rubla.

— O co chodzi? — pytam.

— On już dla was kupił.

Patrząc na szaleństwa Arifa: łapie kawona, okręca go, podnosi do ucha, potrząsa, znów słuchając albo zwraca sprzedawcy, albo na kupkę, dla siebie. Kiedy łapie szóstego, nie wytrzymuje:

— Coś mu się porobiło? — pytam Małgorzaty.

— Widocznie go obraziłeś.

Przy końcu uliczki zacietrzewiony staruszek namawia do siebie:

— Dyni bierytli, rubla dawajcie.

— Ludi! — wrzasnął mi za uchem. — Dawajcie rubla, dawajcie!

Arif potwierdza moje spostrzeżenia:

— Ludzie koło straganów kręcą się na okrągło. Przyjdiesz o dziesiątej wieczorem — kupisz, o jedenastej — też kupisz.

— Muszą dobrze zarabiać?

— Gdzie tam, 60—80 rubli miesięcznie. Połowa dobrej pensji.

Późnym wieczorem — nie kładziemy się spać wcześniej niż o pierwszej — postanawiamy wybrać się na spacer. Arif traktuje to jako wybryk, ale chętnie nam towarzyszy. Wzdłuż ulic, gdzie ruch jest większy, stoją rzędy straganów. Oświetlone żarówkami i lampionami, obwieszane siatkami pełnymi jabłek i cebuli, obstawione czym tylko można potwierdzają moje wyobrażenia na temat wschodu. Ludzi jak w dzień, handlują, opowiadają dowcipy, grają w warcaby, często popijają wodę z automatów.

— Miałem zapraszać maciory. Ale powiedziałem żonie, że nie ma sensu; żywiec idzie w dół, buhajów nie ma gdzie sprzedawać, ceny pasz rosną, nawozów też, węgiel, prąd... Nie na nasze ręce. Żona mnie poparła — mówi Witold Pawłowski, jeden z najlepszych rolników w Niedrzwicy Dużej.

— Będzie się trzymać tylko dla siebie...

— Ten rząd jest jeszcze lepszy do manipulowania niż tamten, teraz to już w żywe oczy kantujo. Za buraki miało być po 20 litrów ropy za metr, dzisiaj jest ledwie czternaście, a w poniedziałek będzie 12. A miały to być ceny gwarantowane. O-błuda.

— Należało się nam odsetki za zwłokę. Jak podatku człowiek nie zapłaci, to od razu wało po kieszeni...

— Żeby za swoje ciężkie tyranie zebrać ze wstydem w oczach o własne pieniądze!

— Wczoraj zdrożały traktory, rozrzutniki, kombajny ziemniaczane...

— Musi być gorzej, żeby było lepi...

— Będzie lepi!? Nigdy nie będzie lepi, bo dalej rządzo monopolisci. Czemu nie dadzą zezwolenia na handel z zagranicą? Znajdą się takie spryciarze, co i masło tam sprzedadzą, nie trzeba będzie go chłopu wpychać, ani marnować.

GODZINA 7.30.

Otwierają bank. Wpadamy do środka, żeby się ogrzać. Pilnujemy kolejki, ściskając w rękach kwity na pieniądze. Niektórzy na wszelki wypadek wzięli reklamówki. Dwa dni wcześniej jeden z chłopów odebrał dziesięć milionów w banknotach po 5000 i 1000 złotych. Zawiązał rękawy skafandra i w rękawach jakoś upchnął ten „towar”.

GODZINA 8.00.

Kwiecień odebrał swoje cztery melony, popychał we wszystkich kieszeniach kufajki i polecał zapłacić za płyty paździerzowe. To pieniądze, które zebrano z wczorajszych wpłat ze sklepów.

GODZINA 8.30.

Zagląda „wesolek” z Kościelnej, ten z kolejki po

— Mam takie dni — przypominają mi się słowa Esmiry — że co budka z wodą, co automat, muszą zatankować.

— Żadnych konsekwencji?

— Żadnych. Te upały pożerają wszystko.

Wracamy pod blok o północy. Ludzie siedzą na ławeczkach, w zaimprovizowanych altankach z rzadka stoją samowary, pije się herbatę. Biegają dzieci dwu-, trzyletnie, nikomu nie przychodzi na myśl, że dawno powinny spać. Atmosfera jest wiejska, familiarna, choć pięćdziesiąt metrów dalej stacja metra.

SZYKUJEMY się powoli do wyjazdu, ale Arif chce nam jeszcze pokazać park Kirowa z piękną panoramą na miasto i morze. Jedziemy ulicą Komunistyczną, niegdyś Nikolajewską, która nie tak dawno była najbardziej reprezentacyjną ulicą Baku. Tu czuje się Europę, bogate, secesyjne domy, szerokie chodniki, pasy zieleni. Niemal co drugi gmach projektował któryś z polskich architektów, których na przełomie wieków żyło tu wielu. Sam Eugeniusz Skibiński zaprojektował w Baku ok. 250 budynków, pałaców, w tym bardzo orientalny w formie dworzec kolejowy (1883 r.). Józef Płoszko jest autorem projektu budynku „Ismaili”, meczetu w Szemasze, kościoła katolickiego w Baku, ale przede wszystkim siedziby Prezydium Akademii Nauk Azerbejdżańskiej SRR — budynek łączy w sobie elementy tzw. gotyku weneckiego, secesji i miejscowe, oparte na tradycji islamskiej. Myślę, że tylko architekt, wyrosły na glebie wielu kultur i tradycji dawnej Rzeczypospolitej, mógł spleść tak karkołomny a zarazem tak udany architektoniczny warokoc.

Od końca XIX wieku do rewolucji Polacy budowali w Azerbejdżanie koleje, mosty, pracowali w przemyśle naftowym, mieli sklepy, byli przemysłowcami. Kolonia polska, wcale liczna, w latach 1907—8 wydawała własne pismo „Farys” w języku polskim (redaktorem był J. Wojniłowicz), w pałacu przemysłowca S. Rylskiego odbywały się wieczory literackie. Otwarto nawet Dom Polski (funkcjonował do I wojny światowej), do którego przeniosło się polskie życie kulturalne.

Podchodzimy pod pomnik Kirowa, który z marmurowych wyżym błogosławi spizową ręką Morze Kaspijskie.

— To wasz narodowy bohater, czy jak? — pytam.

— Można powiedzieć, że nasz wróg: on dał autonomię Karabachowi na życzenie Ormian.

— Nie przejmuj się, Arif — mówię — u nas Bieruta, zaufanego Stalina, którego on sam zrobił pierwszym szefem powojennej Polski już zdejmując się z pomników. Nawet Lenin ma kłopoty.

— Lenin może stać.

— A jesteś pewien, że powinien?

— W zasadzie jestem przeciwnikiem wszelkiego niszczenia, może lepiej byłoby otoczyć te zabytki drzewami i zostawić jako pamiątkę uzurpacji i krótkowzroczności, jeżeli już nie chce się tego nazywać głupotą. I wnuki miałyby okazję do śmiechu.

— Może i lepiej byłoby zostawić... Kto wie, co będzie za 20 lat, przyjechałaby straż, popsikała, odczyściła, po co budować nowe?

Nie doceniałem jego wschodniej mądrości

(Koniec odcinka 9. — cdn.)

węgiel. Grosza nie ma, ale zadowolony, bo kwit już wypisał...

„Pamiętki z okienek” uśmiechają się do siebie. Spoglądają na zaspane, opalone wiatrem i mrozem, umordowane twarze rolników. Piją herbatę... Nikt nie wie, kiedy ambulans przywiezie pieniądze.

GODZINA 9.00.

Obsłużeni zostają właściciele księżeczek oszczędnościowych. Wpadam na pomysł, żeby taką założyć i przelać grosz, a potem dopiero wybrać go z księżeczki. Niestety: nie ma księżeczek.

GODZINA 9.10.

— Jak przywiezie z pięćdziesiąt milionów, to może się weźmie — mówi jeden z oczekujących. — Inaczej nie ma szans.

GODZINA 9.30.

Jest ambulans. Cywil z dyplomatką przynosi do banku pieniądze. Dzwienie się, że bez obstawy.

— Wypuszczcie dwadzieścia tysięcy łobuzów, to będą jeździć z obstawo — słychać w tłumie. Lecą moje guziki przy skafandrze.

— Co tam, panie, w tych bankach kraść? Bida jak diabli.

— Nawet Najmrodzki się zawiódł i do mamra wrócił.

Przed okienkiem ścisk. Wreszcie podają dowód. Jestem już pewien, że grosz pobiorę, sąsiadowi też się udaje. Urzędniczka oblicza na kalkulatorze, dla ilu wystarczy.

GODZINA 10.00.

Mija dziesiąta minuta operacji, przyjmowanie rozliczeń i dowodów zostaje przerwane. Osłużono dwanaście osób. Około trzydziestu osób odchodzi z kwitkiem, niektórzy byli tu już piąty raz. Pomstują.

Wychodzę przed bank. Jestem szczęśliwy, jestem milionerem. Po południu, przy pewnych sprzyjających okolicznościach, mógłbym mieć: dywan strzyżony, jedną trzecią kolorowego telewizora, dwa okna do mieszkania (gdybym się budował), cztery opony do malucha (gdybym go miał).

PARASOLE I PARZYGNATY

Dokończenie ze str. 6

lutowy. Trafiały się też damy klasowe, prawdziwe koły i szanęle, mercedesy pierwszej jakości korynckiej. Dla tych trzeba było rezerwować najlepsze miejsce, chłodzić najlepsze trunki, najlepszych gości. Prosić do towarzystwa, słowem ekskluzyw i Europa.

Starzy moi mistrzowie powiadali w podobnych razach: „zdejmij z gościa spodnie przez głowę, ale tak, by on jeszcze do drzwi w pas ci się kłaniał”. Parasol może bowiem wieczór umilić już od momentu, gdy podaje kartę, ale też może go zepsuć tak dokładnie, że nieprędko do tego lokalu się wybierzesz, chociaż niczego złego ci nie uczynił. Przeciwnie, co chwila wymieniał popielniczki, poprawiał obrusik, wymieniał sztuce, zagadywał, obserwował, a ty akurat miałeś sprawę z pewną panią i wolałeś z nią konwersować, niż z kelnerem gawędziarzem. Ale akurat tego wieczora on miał gadane, więc, skoro od ciebie odczepić się nie chciał, ty od niego precz pójść musiałeś...

Z parzygnatami nigdy w konflikty nie wchodziłem. Doceniałem ich sztukę i poczucie piękna. Niektórzy z nich, jak chociażby słynny Ostrowski z „Europejskiego”, talent mieli nieprzeciętny, gotowali tak wykwintnie, że ich potrawy słusznie mogły uchodzić za wzorce sztuki kulinarnej. Tylko oni potrafili przyrządzać zupy rakowe, kluski francuskie, paszety z gęsich wątróbek, karpie po żydowsku, sos cumberland, kotlety radziwiłłowskie z kurczęciny, warzywa pod beszamelem — i tylko im warto było patrzeć na ręce, pomagać przy garniowaniu, siekać, ucierać, zawiązać.

Co do tipsu, to jeden da, drugi nie, bo na napiwek trzeba zarobić. Nie wystarczy, jak to mówią, podać konsumentowi danie — za taką chałturę wystarczy „dziękuję”. Gość musi czuć, że jest obsługiwany, że oto staje się świadkiem twojego mistrzostwa, podmiotem rytuału, szczególnym medium dla twojej sztuki. Twój popis nie może jednak go ani przez chwilę krępować, uszytniać. Żadnych ekstrawagancji efektów, nic na siłę. I jeśli nawet pozostawi cię tylko z serdecznym słowem, nie miej mu tego za złe, skoro docenił twój konszt, pożegnaj go z ukłonem, jak na kapłana przybytku gastronomicznego przystało. Jego wdzięczność może okazać się ważniejsza niż banknot włożony ci za ucho z wyrazem lekceważenia.

W generalski biały walc

Tak, tak, rzeczywiście obsługiwało się bankiety rządowe, a najobfitsze były z okazji 22 lipca. Aliści karty dań stanowiły zawsze rządowe cicho-sza, a jest to tradycja sięgająca czasów cesarstwa rzymskiego. Znacznie więcej wiadomo co i gdzie podpisano, niż co i gdzie z tej okazji spalazowano oraz popito.

Na powitanie donosiliśmy najczęściej wódki czyste perliste, dziusy, tartinki do zagryzki i co tam jeszcze w protokole zapisano. Potem bywały przekąski wytworne, kawior czerwony astrachański, kawior małosolny, koktail z krewetek, niedużo, ale elegancko, bardziej na zapach niż ku rozkoszy podniebienia. Dalej dania rybne podstawowe, choćby sandacz po polsku, zupy czyste typu konsomme i fumee lub kremy z profiterolkami, wreszcie ryby na gorąco, bażanty na postumentach, prosiaczki z hreczuchą, albo indyk, który trafił na stół Indiry Gandhi, gdy zawiątała do Warszawy. Wina takie bywały: chablis, egri bikaver, inne wytrawne, szampany; wety dawaliśmy z kawą i czajem, do tego świeże nastrojowe, a wszystko razem trwało nie dłużej niż dwie godziny, choć przedtem próby mieliśmy aż do znużenia. Wejście, ukłon, serwowanie, ukłon, odmarsz — i od początku.

Kuchnia na „Batorym” bez porównania była bogatsza niż na przyjęciach państwowych. Więcej jarzyn i owoców, przed wojną zaś także dania koszerne tam serwowano. Do tego gama przypraw, majeranki i kolonialne, ingrediencje pojedyncze i kombinowane, ale ze sztormu najlepiej się wyleczył gorącym rosołem. Dwie pierwsze filiżanki skutkują raczej wyrwykowo, co masz w trzewiach, oprócz dobroci, wszystko wyrwa, ale trzecia zablokuje cię na cały rejs, a może i na zawsze. Dopiero wówczas pokażesz gościom, co naprawdę potrafią twoje palce i co czuje twoja słowiańska dusza.

Bo prawdziwego polskiego parasola pod każdą szerokością geograficzną cenią i podziwiają, niezależnie od tego, w co się aktualnie gra, w generalski biały walc czy w czerwone machi.

Gawędy Mistrza wysłuchał i do druku podał:

Marian Janusz Kawalko



Fot. Waldemar Stępień



Willa Marii Kuncewiczowej

Fot. Waldemar Stępień

Na stronie tytułowej ofiarowane mi egzemplarza „Fantomów” Maria Kuncewiczowa napisała: „Jeden kazimierski fantom drugiemu — na pamiątkę różnych lipców tu oglądanych, i z pociechą, że dęby i lipy nadal stoją, jak stały”.

Było to w lipcu 1982 r.

Dni były upalne, kwitły lipy, w niedalekiej pasiece pana Łaszanowskiego brzęczały pszczoły; dzień za dniem włócił się niby zwyczajnie, po kazimiersku leniwie. Ale było to zarazem pierwsze lato stanu wojennego. Lato niepewności, lato wielkich frustracji i wielkiego smutku, i wielkiej niewiadomej. I może tylko fakt niewzruszoności przyrody, spokojne trwanie starych drzew, tych lip i tych dębów porastających wzgórze nad wąwozem Małachowskiego, drzew, które tak widziały, dawał wiarę w ostateczną stabilność otaczającego „Kuncewiczówkę” świata, w ład, który przecież kiedyś znowu nastąpi.

Z domem Marii i Jerzego Kuncewiczów w Kazimierzu nad Wisłą związany byłam przez okres dziesięcioletni. Mieszkiwałam tutaj w różnych porach roku, raz dłużej, innym razem krócej, w części „Kuncewiczówki” zajmowanej wtedy przez ośrodek wypoczynkowy RSW „Prasa”. Główny gmach ośrodka wznosił się na sąsiedniej parceli, na terenie należącym kiedyś do właściciela nie istniejącego już pensjonatu. Szymona Wisznią, kasimierskiego „włóka”, wieloletniego radnego miejskiego. Wisznia był od początku osiedlenia się Kuncewiczów na tutejszym wzgórzu ich najbliższym i chyba najlepszym sąsiadem. W czasie wojny podzielił los większości swoich pobratymców.

Kuncewiczowie zawarli znajomość z Szymonem Wiszną, kiedy nie było jeszcze dzisiejszej „Kuncewiczówki”. Czyli — jak oni mówili: „dużego domu”. Duży dom powstał dopiero na początku drugiej połowy lat trzydziestych. Zbudowany został na kawałku ziemi dokupionym, specjalnie w tym celu, do obszernej parceli porośniętej starymi lipami i dębami, drzewami owocowymi i młodymi brzoźami, na której stała chatka nabyta, wraz z gruntem, od pani Reginy Glinkowej, de domo Białowiejskiej.

Za uzyskane ze sprzedaży pieniędzy pani Białowiejska-Glinkowa wybudowała sobie niewielki, ale piękny i wygodny domek-dworek, z ganeczkiem wspartym na dwóch drewnianych kolumnach i oszkloną werandą od tyłu, zaprojektowany przez Karola Sicińskiego. Ten dom istnieje dotąd i trzyma się doskonale. Natomiast „małego domu” Kuncewiczów, wiejskiej chatki, przez którą przewinęło się na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych tylu artystów, tylu interesujących młodych i starszych ludzi, chatki, przed którą przy stole wkopanym w ziemię Maria Kuncewiczowa napisała „Dwa księżycy” — nie ma już od kilkudziesięciu lat. Zmarła w latach wojny, resztę poroziągali ludzie; dziś nawet śladu po niej nie ma. Stała w tzw. „parku”, mniej więcej w tym miejscu, gdzie później Dom Prasy urządził boisko. Dzisiaj prawie nie widać śladów boiska; wszystko zakryła rozpasana kazimierska zieleń.

„Chatka” w starym sędzie — pisała w „Fantomach” Maria Kuncewiczowa — nie była więc serio. Renia Lorentowicz na glinianym piecu wymalowała koguta, długi stół na krzyżakach dźwigał fantastyczną florę w dziejach do mleka, na werandzie wilczur zjadł palto Ignacego Daszyńskiego, sprawione na przyjęcie parlamentarzystów francuskich. Zuzia Pruszkowska smażyła rydze przyodziana w narzutkę z szynszylki, Strug zjadał maliny prosto

WOKÓŁ „KUNCEWICZÓWKI”

Mirosław Derecki

z gannka, Teresa Roszkowska wabiła mężczyzn piórami Aszantki, Wanda Telakowska z prostotą rzymskiej dziewczyny opowiadała sprone kawały, Prusz śpiewał o rycezu Mściboju: „Powiedział pass, pchnął się i zgasł”, Antoni Michałak szeleścił wieńcami ze stony, a później już — po wygaśnięciu Pruszkowszczyzny — Meir Ezofowicz, wcielony w Adolfa Rudnickiego, przychodził motać swoje melancholijne czary”.

W 1958 r., kiedy po blisko dwudziestoletniej nieobecności w Polsce Maria Kuncewiczowa przyjechała ze Stanów Zjednoczonych, na kazimierskim rynku powitał ją właśnie Antoni Michałak, jedyny z niegdysiejszych uczniów Pruszkowskiego, który mieszkał nadal w Kazimierzu. Potem autorka „Dwóch księżyców” poszła samotnie, wieczorną porą, przez wąwóz Małachowskiego przywitać się ze swoim domem, z którego wyjechała, wraz z mężem, 10 września 1939 r.

Duży dom (nikt go wtedy jeszcze nie nazywał „Kuncewiczówką”); to dopiero w latach sześćdziesiątych, w sąsiednim Domu Prasy samoistnie wykuła się ta nazwa, podchwycona później łatwo przez szkolne i nauczycielskie wycieczki pielgrzymujące w pocie i znoju poprzez „ulicę” Małachowskiego do „sanktuarium” wybitnej pisarki) — zajęty był przez kolonie dzieci pracowników milicji i Służby Bezpieczeństwa. W „parku” stały wieloosobowe namioty, w których spali starsi chłopcy. Jakiegoś dziecięcy głos zapytał z mroku: „Kto idzie?” „Swój” — odpowiedziała po chwili wahania Maria Kuncewiczowa.

Fakt odzyskania swojej własności, a raczej: możliwości korzystania z domu, który był ich własnością, zawdzięczali Maria i Jerzy Kuncewiczowie, głównie, ówczesnemu kierownikowi RSW „Prasa”. Rozglądało się ono na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych za odpowiednią parcelą w Kazimierzu, na której mogłoby stanąć budynek Domu Prasy. Miał to być — jak mi opowiadał w szereg lat później były prezes RSW, wielki miłośnik Kazimierza, nieżyjący już Mieczysław Zawadka — dom pracy twórczej dziennikarzy; nie tylko polskich, ale także zagranicznych. Miał ten przysły Dom Prasy spełniać rolę integrującą różne środowiska dziennikarskie, miał być

miejszem wzajemnej wymiany myśli i doświadczeń. Nigdy jednak do zrealizowania tej pięknej koncepcji nie doszło.

Kuncewiczowie zgodzili się udostępnić RSW „Prasa” całą swoją parcelę „parkową” oraz swoją willę (wówczas zajmowaną przez resort spraw wewnętrznych) w zamian za to mieli korzystać, po ustąpieniu dotychczasowego użytkownika, z górnej kondygnacji domu. Kiedy zdecydowali się na powrót do kraju, osiedli w Kazimierzu na stałe. W przyszłości — willa oraz teren, który do niej należał, miały stać się własnością RSW. (Ostatecznie — Kuncewiczowie zapisali w testamentie swój dom Muzeum Kazimierza Dolnego). Został wówczas przeprowadzony gruntowny remont „Kuncewiczówki”. Zainstalowano także w niej centralne ogrzewanie, zasilane przez kotłownię Domu Prasy.

Początkowo w przyziemiu i na parterze domu mieszkali pracownicy ośrodka wypoczynkowego RSW. W wielkim salonie-jadalni i w hallu, gdzie znajduje się kominek, mieściła się „świetlica”. Stał tam stół do gry w ping-ponga, leżały jakieś pudła z grammi towarzyskimi, na stołach — trochę gazet. Z biegiem czasu zaczęły się pojawiać w „świetlicy” także składane „dostawki” do spania, a okupująca ten lokal młodzież zaczęła się zachowywać coraz bardziej swobodnie. Kiedy jednak pewnej nocy rozochocione towarzyszywo napaliło w kominku... jedynym z „ludowych” krzesła znajdujących się w „świetlicy”, następnego dnia wkroczył zdecydowanie do akcji Jerzy Kuncewicz. Zdaje się, że to wówczas — na zasadzie „gentlemen's agreement” — Dom Prasy „wycofał się”

Witolda, muzyka Tadeusza Roguskiego, który zajmował mieszkanie w przyziemiu; „Panili Urszuluuu!” — to do Urszuli, żony pana Tadeusza. Czasami, na mój widok: „No co tam słycać?! Przyjdź pan po południu na górę, pogadamy...”.

Najbardziej lubiłem atmosferę kuchni. Południowy pokój na piętrze był projektowany niegdyś z myślą, że zamieszka tam matka Jerzego Kuncewicza. Po powrocie do Polski urządził tutaj Kuncewiczowie kuchnię i podłączoną jadalnię.

Na lewo od wejścia stała czteropalmowa kuchnia elektryczna, obok niej — zlewozmywak. Na środku — duży, okrągły stół z czterema krzesłami, nad którym zwisała lampa; pod ścianą, na lewo od okna — zabytkowa szafka z naczyniem stołowym; pod ścianą na prawo — szeroki, wygodny tapczan. I chyba jeszcze — komódka. Jerzy Kuncewicz krzątał się po kuchni. Lubiał gotować. Szczególnie chwalił się przygotowywanym przez siebie daniem noszącym egzotyczną dla Polaka nazwę: „Irish stew”. Co znaczy po prostu: „irlandzka duszenina”, i jest rodzajem gulaszu z dodatkiem pokrajanych w kostkę różnych jarzyn, z przewagą kartofli...

Kiedy zobaczył gościa przekraczającego próg, rozsiadał się jednak natychmiast, przy stole, z ulgą, tyłem do okna, i swoim zwyczajem — popatrzywszy przez chwilę uważnie na potencjalnego rozmówcę, — odsapnąwszy stentorowym głosem zaczynał z głębi potężnego brzucha swoje: „No, więc proszę pana, tak:!”...

I tutaj zaczynał się, zazwyczaj, monolog. Albo na tematy polityczne, albo

ze „świetlicy”, oddając ją we władanie prawowitym właścicielom.

Z biegiem czasu Kuncewiczowie umeblowali i zagospodarowali odzyskane pomieszczenia, stwarzając piękne, przytulne wnętrza, pełne starych mebli, dywanów, makat, obrazów, porcelany, no i oczywiście — książek.

„Kuncewiczówkę” zaprojektował Karol Siciński. Stworzył dom wygodny. A także — bardzo obszerny, czego na pierwszy rzut oka nie widać.

Willi stoi na kilku „poziomach”, wkomponowana w zbocze wzgórza opadającego ku Czerniawom. Składa się „Kuncewiczówka” jakoby z trzech połączonych ze sobą drewnianych budynków: najwyższego, od strony wschodniej, stojącego na wysokiej podmurówce z białego kazimierskiego kamienia; zachodniego oraz spinającego je poprzeczny „łącznik”, przed którym rozciąga się od południowej strony wielki taras z kamiennymi słupami, tworzącymi rodzaj pergoli, oplecionej pędami fiołkowo kwitnącego klematysu.

Pokoje, którymi dysponowała RSW „Prasa” znajdowały się w części wschodniej „Kuncewiczówki” oraz w „łączniku”.

Drewniana klatka schodowa wiodła na pierwsze piętro, do mieszkania Jerzego i Marii Kuncewiczów. Na prawo — pokój gościnny, dawna pracownia malarska, z wyjściem na północną, oszkloną galerijkę. Na lewo kuchnia (w której zwykle urzędował Jerzy Kuncewicz) pełniła zarazem rolę pokoju stołowego. A dalej — długie poddasze: pracownia i salonik Marii Kuncewiczowej. I jeszcze strone, wąskie schodki z przedpokoiku, wiodące na dół, ponad kominkiem, do hallu i salonu-jadalni.

Jedyna rzecz w tym domu, jaka zupełnie nie udała się Karolowi Sicińskiemu to schody. Trzeba uważać, aby w pewnym momencie nie stracić równowagi, nie polecieć na łeb na szyję, łamiąc nogi lub ręce...

Od rana słycać było w całym domu donośny bas Jerzego Kuncewicza. Chodził z pokoju do pokoju, kogoś nawoływał, z kimś rozprawiał przez okno albo na tarasie. Po prostu „huczał”, jak to określała autorka „Fantomów”. „Marynka!” — to do żony; „Taaadziooo!” — to do wychowanka, rówieśnika syna

— filozoficzne, albo — ekonomiczne w zależności od tego, nad czym ostatnio Jerzy Kuncewicz się zastanawiał co rozważał. Zawsze były to sądy oryginalne, niekonwencjonalne, a przede wszystkim... bezpardonowe.

Lubił też sięgać do przeszłości. Do czasów swej lubelskiej młodości lub podróży po świecie w latach trzydziestych, podczas których spotykał się, on, działacz Stronnictwa Ludowego, z różnymi wybitnymi zagranicznymi politykami. Pisał zresztą o tym w swojej ostatniej książce, zatytułowanej „Wspomnienia”.

Kiedyś, zrywając się na cenzurę, opowiadał mi jeden z rozdziałów, który mu wykreślono: historię spotkania podczas podróży po Związku Radzieckim z generałem prokuratorem ZSRR, generałem Krylenką, którego znał jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, kiedy to Krylenko był nauczycielem w jednej z lubelskich szkół. Krylenko na spotkanie się zgodził. Ale odbyło się ono — według słów Kuncewicza — w atmosferze zupełnie dla niego niezrozumiałej tajemniczości. Najpierw wożono gościa z Polski specjalnym wagonem kolejowym, w nocy, na różnych trasach, przyczepiając wagon do różnych pociągów. Wreszcie został wysadzony w jakimś mieście, pod jakimiś drzwiami jakiegoś hotelu, czy też kamienicy. I tam, w pustym lokalu rozjaśnionym tylko mdłym blaskiem samotnej świecy, odbyła się rozmowa. Rozmowa, której — jak się wydawało — obawiał się sam Krylenko. Być może dlatego, aby nie zostać posądzonym o jakieś podejrzenie „konszachty” z gościem z Polski?

Innym razem usłyszałem opowieść o tym, jak tuż przed wybuchem wojny Goering zjadł kielbasę przywiezioną przez Kuncewicza...

Ale to nie było podczas rozmowy w kuchni. Tylko wtedy, kiedy siedzieliśmy z Marią i Jerzym Kuncewiczami w sąsiednim pomieszczeniu, w „podręcznym” saloniku pisarki, przy herbacie, w jakiś wczesny październikowy wieczór...

W saloniku panowała zupełnie inna atmosfera. Salonik to była domena Marii Kuncewiczowej. Gościa sadzano na wygodnej, stylowej kanapie, pisarka siadała zazwyczaj obok, jej mąż — na rozłożystym fotelu obok stolika. W kącie błyskała w świetle lampy por-

celana za szybnymi serwanicami, bezowym piec kafilowy koło otęca wydawał się mrużyć cichą melodię wieczorną.

Salonik półkolistą arkadą przechodził w tę część poddasza, gdzie pod wąskim, wysoko umieszczonym okienkiem wychodzącym na zachód, stało stare ciemne biurko z licznymi szufladami. To właśnie przy tym biurku Maria Kuncewiczowa napisała wszystkie swoje ostatnie książki. Pisała ręką, codziennie przez długie godziny, i wtedy nie było jej dla nikogo. Goście zazwyczaj przyjmowani byli dopiero po południu. A przed wieczorem Kuncewiczowie wyruszali na codzienny, niemal rytualny spacer.

Ale wracamy do Goeringa. Otóż opowiadał Jerzy Kuncewicz (który przed wojną prowadził w Warszawie własną kancelarię adwokacką), że na cztery tygodnie przed wojną przejął od swojego kolegi po fachu, Romana Knolla, sprawę wyegzekwowania przez Bank Gospodarstwa Krajowego, reprezentujący interesy grupy polskich obywateli pochodzenia żydowskiego — ich majątku pozostawionego w Niemczech. Ze strony Niemiec prowadził tę sprawę adwokat niemiecki, posiadający szerokie stosunki w sferach rządzących. Sprawa była ważna i pilna, więc Kuncewicz poleciał do Berlina specjalnie wynajętym samolotem.

„Poza dokumentami niezbędnymi przy załatwianiu tej sprawy, poza odpowiednimi pełnomocnictwami — ciągnął Jerzy Kuncewicz — zabrałem także ze sobą z Warszawy ogromną paczkę z prowiantem: masłem, doskonałymi kiełbasami, szynką... Sądziłem, że taką «wałówką» zrobię przyjemną niespodziankę mojemu niemieckiemu koleździe-adwokatowi. Wręczyłem mu paczkę i — oczywiście — nasłuchiwałem się podziękowań. Ale pointa całej sprawy nastąpiła dopiero wleczerem. Niemiecki adwokat podczas wspólnej kolacji zapytał w pewnej chwili: »A wie pan, kto zjadł dzisiaj pańską kiełbasę? Zjadł ją Goering!« Okazało się, że adwokat, znający dobrze niemieckiego marszałka, odwiedził go, aby wy badać sprawę przekazania żydowskiego majątku. A przy okazji — wręczył... swoistą łapówkę — kiełbasę z Polski!«

Opowieść o Goeringu i kiełbasie była, zresztą, tylko fragmentem dłuższych wywodów Jerzego Kuncewicza na temat sytuacji tuż przedwojennej w Niemczech i w Polsce; o nastrojach wśród polskiego społeczeństwa i wśród sfer rządowych, z którymi Kuncewiczowie mieli bliski kontakt. Jerzy Kuncewicz, opowiadając, był apodyktyczny w sądach, nieustępliwy w opiniach, nie dający sobie wyperswadować, ani wy tłumaczyć, że to i owo wyglądało wówczas tak, jak on to przedstawia. Zaczynał się w uporze niczym sejmikowy szlachcic, trwał przy swoim na zabój, grzmiał na cały pokój, huczał, popatrząc chwilami z ciekawością — jaki to efekt jego upór sprawia na słuchających. Nie tolerował nawet argumentów „Marynki”...

W takich sytuacjach, po chwili obojętności, trochę chyba już starozęga zaciętrzewienia, Maria Kuncewiczowa w końcu „dyplomatycznie” wycofywała się pierwsza z dyskusji, na zasadzie: dla świętego spokoju...

Może zresztą przez całe życie tak właśnie postępowała ze swoim mężem? Z tym niezwykłym, pełnym sprzeczności człowiekiem, który był zawsze dla niej oparciem, na którego mogła liczyć w najcięższych chwilach, i który — być może świadomie — pozostawał zawsze trochę w jej cieniu...

Zawsze dziwiło mnie w „Kuncewiczówce” jedno: dlaczego w tym wielkim domu pełnym mebli, książek, obrazów, nie ma fortepianu ani, choćby, pianina. Przecież kiedyś młoda Maria Szczepańska zaczynała karierę artystyczną nie jako pisarka, ale jako obiecująca śpiewaczka. Przecież jej matka, prototyp Róży z „Cudzoziemki”, była utalentowaną skrzypkawką. Przecież w starej, nie istniejącej już chatce w głębi „parku” w Kazimierzu było kiedyś — jak sama pisała na kartach „Dwóch księżyców”, „Fantomów” — pianino. Wszak do muzyki nawiązywała, wracała do niej Maria Kuncewiczowa stale w swoich książkach. Nawet w nekrologu, po jej śmierci, napisano o „śpiewaczce i pisarce”...

Może, po prostu, uprawianie muzyki stało się dla niej w pewnym momencie jakimś zamkniętym na zawsze rozdziałem, który nosił tytuł: „Młodość”?

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

SAMOCCHODY STAJĄ DĘBA

Dokończenie ze str. 1

W ostatnich latach, oprócz osób prywatnych, samochodami handluje również specjalistyczne firmy i spółki, oferujące także sprzedaż komisową i wszelkiego rodzaju pośrednictwo. Niektóre z nich dysponują nawet szerokim asortymentem aut naszej i obcej produkcji oraz serwisem z częściami zamiennymi.

Są wreszcie auta sprzedawane za pośrednictwem Pewexu, co jednak z tego, skoro ceny...

— Samochód kupiłem w Belgii, od osoby prywatnej, za 2 tysiące dolarów — opowiada o wyprawie po auto młody mężczyzna, posiadacz lady samary, rok produkcji 1987. — Przegląd techniczny wozu kosztował mnie około 20 dolarów, nowe tablice rejestracyjne dalsze 20, odprawa celna odbyła się bezpłatnie. Ubezpieczenie samochodu, wyniosło, zależy to od firmy jaką się wybiera i okresu ważności, 65 dolarów za dwa tygodnie. Po przyjeździe do kraju zapłaciłem cło — 2100 zł za 1 centymetr sześcienny pojemności silnika (lada ma 1288 cm sześci.) czyli 2 mln. 700 tys. Skąd miałem pieniądze na samochód? Przez cztery miesiące pracowałem w Belgii na farmie warzywniczej.

Pięć lat temu wozy produkcji zachodniej stanowiły niespełna 20 procent nowo nabytych pojazdów. Dziś liczba ta zdążyła się już podwoić, a polski rynek motoryzacyjny nabrał nieznanego dotąd rozmachu. Przynajmniej w tej dziedzinie, patrząc na piękne zagraniczne auta jeżdzące po ulicach, przypominamy choć trochę Europę.

DO NORMALNOŚCI NADAL JEDNAK DALEKO.

Na giełdzie samochodowej, kilkuletni sfaitygowany polonez w dalszym ciągu jest droższy od nowego malucha.

— Trudno przewidzieć jak zareaguje rynek po podwyżkach. Giełda jednak przetrwa, a na wiosnę z pewnością jeszcze ożyje — twierdzi Tadeusz Adamski, kierownik zespołu Rzeczoznawców Techniki Samochodowej i Ruchu Drogowego PZMot. w Lublinie. — Jednak istnieje uzasadniona obawa, że import wozów z zagranicy zostanie skutecznie wstrzymany, a to za sprawą drażniących opłat celnych i podatków. Ot, na przykład nabyłem samochód za 2 500 dolarów. Od 1 stycznia br. płacę już cło w wysokości 20 proc. od ceny samochodu po państwowym kursie — 9 500 zł za 1 dolara, czyli 2 500 dol. × 9 500 zł daje 23 miliony 750 tys. 20 procent z tej sumy, to 4 mln. 750 tys. Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba zapłacić podatek obrotowy w wysokości kolejnych 20 proc., liczony w następujący sposób: 23 mln 750 tys. (cena wozu w złotych) plus 4 mln 750 tys. (cło) daje nam 28 i pół miliona złotych. Z tego 20 proc., to 5 mln 700 tys. Teraz dodajemy 4 750 tys. zł (cło) i 5 700 tys. (podatek obrotowy) i mamy w ten sposób 10 milionów 450 tysięcy złotych, które musimy wpłacić do skarbu państwa.

— Są to niewątpliwie olbrzymie pieniądze — kontynuuje Tadeusz Adamski. — Dlatego też niektórzy samochodziarze będą próbowali innych sposobów sprowadzania pojazdów do kraju. Rozebrawanie samochodu na części i przywiezienie go w tym stanie będzie korzystniejsze, bo cło na części samochodowe wynosi, jak na razie, tylko 5 proc. ceny nabycia i bez gigantycznego podatku obrotowego. Inny sposób, jaki będzie z pewnością stosowany, to zaniżanie sum wpisanych w umowie kupna - sprzedaży. Jeżeli

rozbieżności między ceną w umowie, a wartością rzeczywistą pojazdu będą znaczne, wtedy celnicy zwracają się będą do nas o wycenę jego wartości. Mam już nawet taką sprawę. Pewien mężczyzna przywiózł z Włoch peugeota 305 z 1979 roku. W umowie ma wpisana sumę 300 tysięcy lirów, co się obecnie równa 215 dolarom.

Rzeczoznawcy z PZMot. przy ocenie wartości wozu posługują się m.in. zagranicznymi katalogami cen. Firmy zachodnie (i niektóre z krajów socjalistycznych) razem z numerem nadwozia umieszczają specjalny kod zawierający rok produkcji. Na przykład lada ma symbol — XTA 210500E1563. Litera X oznacza kraj i producenta wozu, cztery pierwsze cyfry to typ samochodu, dwie kolejne są cyframi tzw. „pustymi”, podobnie jak następne. Literka E między nimi oznacza rok produkcji — 1984. Określenie rzeczywistej wartości nabytego auta nie następuje więc większych problemów. Cena takiej ekspertyzy wynosi od 9 do 15 tysięcy złotych.

Po kilkudniowych zabiegach i po przedłożeniu w Wydziale Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego pisemnej prośby, udało mi się wreszcie poznać liczbę aut jeżdżących po ulicach Lublina i drogach całego województwa. Okazało się, że liczba samochodów osobowych w gospodarce społecznej utrzymuje się od kilku lat na stałym poziomie 1300—1400 sztuk. Wciąż natomiast przybywa pojazdów prywatnych. W 1985 roku w województwie lubelskim było zarejestrowanych 83 200 samochodów osobowych, a w 1988 już 105 5 tys. Rok ubiegły był z pewnością jeszcze obfitszy. Jaki będzie 1990?

ZANOSI SIĘ NA REGRES

W kraju równoległe z nowymi opłatami celnymi podrożała benzyna, wzrosły stawki ubezpieczeniowe i podatek drogowy. Ubezpieczenie samochodu w PZU kosztuje już od 50 do 350 tys. zł za kwartał, w zależności od wielkości silnika i zakresu ubezpieczenia. Podatek drogowy wynosi (jak na razie) np. dla poloneza 49 500 zł, ale mówi się o sumach grubo przekraczających sto tysięcy złotych rocznie. Benzyna z 1200 zł „skoczyła” na 2400 za litr i nikt nie podaje, że samo posiadanie poloneza (bez wydatków na benzynę) kosztuje teraz 8 tys. dziennie. Telowizja może zaś o 400 tys. miesięcznie. Trudno się połapać, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna plotka. Każdy liczy więc po swojemu, czy stać go jeszcze na jeżdżenie samochodem do pracy, albo na rodzinne wycieczki za miasto.

Na giełdach samochodowych na jednego kupującego przypada pięciu, albo jeszcze więcej sprzedających. W szczytnym Polmozbycie, rzecz niebywała, polonezy w cenie 29 milionów czekały na nabywców! A jak jest w Lublinie?

— W roku bieżącym odbyły się u nas już dwa przetargi na samochody marki lada samara — mówi Stanisław Rygliszyn, zastępca dyrektora P.P. Polmozbyst przy ul. Melgiewskiej w Lublinie. — Cena wywoławcza wynosiła 29 mln 800 tys. zł. Sprzedaliśmy wszystkie: 60 wozów po cenach o 4—7 milionów wyższych. Chętnych nie brakowało, gdyż klienci zdają sobie sprawę, że taniej nie będzie.

Polonezy sprzedawane w Polmozbycie przy Drodze Męczenników Majdanka również długo nie czekały.

— Cena wywoławcza ustalona została na 28 mln 200 tys. Dwadzieścia wozów kupiono z kilkumilionowym „za-

pasem” — mówi Marek Pomorski, zastępca dyrektora ds. handlu. — W Białej Podlaskiej, gdzie mieliśmy jeszcze maluchy w cenie 9 milionów, również poszły wszystkie. Ponoć są to ostatnie przetargi samochodów. Mówi się coraz częściej, że Rada Ministrów przygotowała nowe zasady sprzedaży aut; część będzie nadal reglamentowana (m.in. przydziały dla inwalidów, lekarzy itp.) reszta trafi na wolny rynek. Nie kryjemy, że samochody znów podrożeją. Z tego co wiem, podwyżki nie omiada również aut sprzedawanych w Pewexie.

Jak dotychczas prywatne

SAMOCCHODY POJAWIAŁY SIĘ NICZYM GRZYBY PO DESZCZU.

Wydawało się, że literki: LLB na lubelskich tablicach rejestracyjnych nie na długo już starczą. Przygotowano więc kolejne serie zaczynające się od: LBC, LBD i LBE, które miały wystarczyć na dalsze osiem lat rozwoju lubelskiej motoryzacji. A tu masz! Ludzie — zamiasz zapamiętać — zaczęli zwałniać miejsca w księgach rejestracyjnych Wydziału Komunikacji.

— Od początku ubiegłego roku rejestrowaliśmy średnio po 10 pojazdów dziennie — mówi Ignacy Zbylut, kierownik Wydziału Komunikacji Urzędu Miejskiego w Lublinie. — W drugiej połowie 1989 roku ruch się jeszcze nasilił. Ponad jedną piątą tych wozów była przywożona z zagranicy. Z początkiem 1990 sytuacja się odwróciła. Ludzie nie rejestrują pojazdów, odstawiają je do garaży. Przez ostatnie kilkanaście dni ponad 10 tysięcy właścicieli wozów wycofało je z ruchu. Powód? Oczywiście wzrost kosztów utrzymania.

Taksówkarze utrzymujący się ze swych samochodów, zmuszeni byli podnieść ceny, co jeszcze bardziej odstraszyło i tak niechętnych klientów. Teraz płaci się już „100 razy wskazanie taksometru”. Na wybrzeżu ponoć jest drożej: „razy 155”. Kogo stać na taksówkę?

Kierowcy twierdzą, że nie zarobią, teraz nawet połowy tego, co jeszcze przed paroma miesiącami, a już z pewnością nie znajdą się tacy, którzy kupiliby nowe samochody z przeznaczeniem na taksówkę. Dawno przestało się opłacać. Ludzie zaś mówią na mieście, że gdyby się nie opłacało, to by nie jeździli: „Pewnie mają jakieś ekstra kursy, wożenie panienek, transport towaru od badylarza na rynek i jeżdżąc na boku, jakoś wychodzą na swoje”.

Kazimierz Rola, szef firmy zrzeszającej pod szyldem „Radio - taxi” 60 taksówkarzy, zaskakuje optymizmem:

— Nam się jeszcze opłaca pracować w zawodzie kierowcy. Powiem więcej. Szykujemy się do obniżki cen za świadczone przez nas usługi. Po prostu będziemy jeździć taniej niż inni.

Od kiedy

SAMOCCHÓD ZASTĄPIŁ KONIA

cieszy się on w narodzie wielkim poważaniem — napisał niedawno jeden z dziennikarzy. Auto świadczy o zamocności, budzi szacunek wobec właściciela. O motoryzacji dyskutują nawet ci, którzy nie mają nawet dwóch kółek, nie mówiąc już o czterech.

Samochodziarze zwykli mówić, że żonę można mieć brzydką, ale samochód powinien być najpiękniejszy na jaki człowieka stać.

Marek Podgajny

Jeszcze w sprawie „Karmelu” (na prawach Wolnej Trybuny)

WPARYSKIEJ „Kulturze” (nr 10 ub.r.), w rubryce „Wolna Trybuna” ukazała się wysmakowana filipika Krzysztofa Wolickiego, wyceLOWANA w kardynała Glempa po jego wypowiedziach w sprawie klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu. Jest to tekst znamienity, zaskakujący, choć pryncypia sporu nie nowe, bo sięgające głęboko w przeszłość. Możliwe, że ta wypowiedź jest znamieniem nadciągających czasów w Polsce, nowego podziału sił, ról, emocji oraz interesów. By nie powiedzieć — geszeftów.

Rzecz ukazała się na Zachodzie, w „Kulturze”, i niewątpliwie przez to jest adresowana do polskojęzycznego czytelnika nie tylko w Europie, ale i na całym świecie. I — ma się rozumieć — w Polsce, bo teraz już egzemplarz „Kultury” nie jest dla celników bombą polityczną.

Tekst jest niedługi. Stonowany w emocjach i słowach, ale pryncypialny, nie znoszący sprzeciwu, „demaskatorski”, napisany z pozycji jedynie słusznej racji. Zauważyć by warto, że autor tej filipiki w swej politycznej dziennikarskiej młodości dość rozsądkiem w racjach jedynie słusznych. Wolno mi o tym napomknąć choćby dlatego, że on sam, mówiąc o rzekomym antysemityzmie księdza Prymasa, lokuje korzenie tego antysemityzmu w jego „...biografii intelektualnej i emocjonalnej”. Powstrzymajmy się od lokowania antykatolicyzmu Krzysztofa Wolickiego w jego biografii intelektualnej i emocjonalnej, by nie wspomnieć o jeszcze innej, może tu najważniejszej — bo to do niczego nie wiedzie, może jedynie dostarczyć amunicji stronie przeciwnej.

Na wstępie autor informuje, że prasa na Zachodzie szeroko rozpisuje się o antysemityzmie Prymasa po jego wypowiedziach na temat wrzasków wokół i przy klasztorze karmelitanek w Oświęcimiu. Pewną niedogodnością dla czytelnika jest to, że Wolicki nie cytuje tytułów czasopism, a sytuacja stałaby się już zupełnie przejrzysta, gdyby jeszcze poinformował, czyją własnością są owe periodyki atakujące księdza Prymasa. Autor zresztą — w co wprost trudno uwierzyć — nie interesuje się zasadnością opozycji Prymasa w sprawie deportacji karmelitanek. Dla Krzysztofa Wolickiego „(...) pytanie interesujące brzmi: jakim to projektem politycznym żywi kardynał

prymas Glemp, w realizacji którego awantura w klasztor karmelitanek i podsycanie zimnej wojny polsko-żydowskiej (a może żydowsko-polskiej? — H. P.) wydadają mu się aż tak przydatne, że warto w tym celu narażać na szwank ważne interesy kraju i Kościoła?”

A zatem stanowisko Prymasa w sprawie karmelitanek oświęcimskich nie bierze się z racji merytorycznych: religijnych, moralnych, prawnych, historycznych czy nawet narodowych, nie da się tego stanowiska sprowadzić na grunt sporu teologicznego między dwiema religiami. Da się natomiast sprowadzić do gry interesów czy to kraju, czy to interesów Kościoła (dolar, pożyczki, prestiż wśród innych kościołów?)

Co więc skłoniło Prymasa do sprzeciwu? Otóż, zdaniem K. Wolickiego, postawa Prymasa w tej sprawie jest jedynie, od początku do końca, projekcją racji politycznych, toteż istota sporu, a także sam konflikt znika zupełnie z dalszych wywodów Wolickiego i pojawia się dopiero na samym końcu, jako po trosze wymuszona, pretekstowa kłamra spinająca i byle jak usprawiedliwiająca tę wycieczkę przeciwko Prymasowi i polskiemu Kościołowi.

Jak wiadomo, porozumienie genewskie z 1987 roku, sygnowane m. in. przez kardynała Macharskiego, przewidywało przeniesienie karmelitanek z sąsiedztwa obozu oświęcimskiego gdzieś dalej. Teraz Prymas nagle stawia sprzeciw tej umowie. Dlaczego? Wiemy, że reakcja Prymasa była bezpośrednio — może zbyt gniewnie — związana z wrzaskliwą hecą grupy żydowskich ortodoksów — awanturników u bram klasztoru. Wolicki nie dopuszcza myśli o takich motywacjach sprzeciwu Prymasa, jak obraza uczuć religijnych czy narodowych Polaków, bądź co bądź właścicieli tego tragicznego skrawka polskiej ziemi, na którym rozegrało się nie tylko epentrum holocaustu, ale również martyrologii Polaków. Autor filipiki: „Żydzi, endecy i kardynałowie” rzecz całą sprowadza do rozgrywek personalnych o władzę w polskim Kościele, ściślej do „...walki o prymat i autorytet w hierarchii kościelnej w Polsce”, z czym łączy się, i to bezpośrednio, kwestia miejsca tej hierarchii w Kościele powszechnym.

TAK więc Wolicki wybiera poetykę spisku pałacowego, zimnej, koronkowej, niemal szekspirowskiej walki o władzę i niedwuznacznie wskazuje na dwóch rzekomych antagonistów — kardynałów: Macharskiego i Glempa. Logika tej walki kałała więc kardynałowi Glempowi oprotęstować wspomnianą hecę i anulować wcześniejszą zgodę kardynała Macharskiego na przenosiny karmelitanek, a zatem przypomnieć zarówno oponentowi, jak i wiernym, kto rządzi w polskim Kościele.

Wyraźnie doskwiera Wolickiemu to, że kardynał Glemp jest jednocześnie Prymasem i przewodniczącym Episkopatu. Ta koncentracja władzy w jednej osobie — tak zresztą niemiłej Wo-

liczemu, dlaczego jego sympatią sytuuje się po stronie kardynała Macharskiego i dlaczego tak potrzebne są Wolickiemu hierarchiczne spory w polskim Kościele

W dalszych wynurzeniach K. Wolicki wyjaśnia, że ksiądz Prymas powoduje się ambicjami przewodzenia w Kościele powszechnym. Przewodzenia oczywiście nie nominalnego, lecz zaistnienia w Kościele powszechnym jako wzór totalnego sukcesu Kościoła w społeczeństwie. Oto polski Kościół jako jedyny w europejskim kręgu kulturowym nie odczuwa np. kryzysu powołań kapłańskich, kościoły są pełne, wierni są wierni, budują setki świątyń, itd. Jest więc Kościół w Polsce imponującym wzorcem sukcesu, co zresztą przyznaje sam K. Wolicki. Na-

ŻYDZI, ENDECY

Henryk Pająk

lickiemu po sprawie karmelitanek — jest także, jego zdaniem, rezultatem despotycznego uporu Prymasa, gdyż „(...) Watykan i Papież osobiście chętnie widzieliby rozdzielenie funkcji przewodniczącego Episkopatu i godności Prymasa Polski”. Czyżby? — go dzi się w tym miejscu zapytać pana Wolickiego. Czyż niesubordynacja kardynała Glempa wobec Watykanu i osobiście Papieża ma rzeczywistość miejsce i do tego stopnia, że wbrew Stolicy Apostolskiej kardynał dyktatorsko dzierży całą władzę w polskim Kościele? I od lat nie chce się tą władzą z nikim podzielić, a już szczególnie z kardynałem Macharskim? Myślę, że paryska „Kultura”, po tych odkryciach Krzysztofa Wolickiego, powinna natychmiast pchnąć kilku swoich wysłanników za Spizową Bramę i zbadać rzecz na miejscu. A o wynikach poinformować swoich czytelników, ogłaszając uroczyście rozłam między Watykanem a polskim Kościołem. Co za gratka dla pana Wolickiego!

Uwainie patrząc na świat i ludzi „Polak-katolik” — by już zadowolili tym cudzysłowem ironię Wolickiego — bez większego trudu potrafi dostrzec

tomiast źródła tego sukcesu, w opcji Prymasa a zdaniem Wolickiego — są oczywiście inne. Kardynał jest bowiem mylnie przeświadczony, że u źródła tego sukcesu leża zwycięska walka Kościoła o uratowanie „duszy narodu”, identyczności pojęć Polak-katolik, a także konsekwentna pryncypialna walka z tak zwaną wolnością sumienia.

Tymczasem — ciągle zdaniem Wolickiego — sukces Kościoła polskiego w ostatnich latach, jak dowodzą przedstawiciele tak zwanej „międzynarodowej republiki intelektualistów”, w Polsce reprezentowanej przez takie piśma jak „Tygodnik Powszechny” — jest rezultatem konsekwentnej walki z totalitaryzmem, obrony praw człowieka, rozumianych głównie jako obro- na praw i wolności zbiorowości społecznych, a nie jednostek. Tu właśnie, zdaniem owej republiki intelektualistów, a także Wolickiego, bije źródło ożywienia uczuć religijnych. Dla K. Wolickiego sukces ten mierzy się tym, że „(...) wszystkie symbole, znaki, treści polskości są przywrócone, odświeżone, uznane, salutowane”.

Osobliwa to optyka — mierzenie sukcesów wiary ilością odświeżonych symboli. Nie jest to, niestety, objaw duchowego, religijnego daltonizmu.

LEZY przede mną kilka kartek liniowanego papieru. Czytam:

„Pamiętam mój dom, w którym mieszkałem w Polsce. Był to niewielki czteropiętrowy blok w Warszawie, w dzielnicy Mokotów. Był on położony w bardzo ładnym otoczeniu, niedaleko ogrodów, łąk i basenu kąpielowego [...]. Miałem mały pokój, z którego bardzo się cieszyłem. Był on wypełniony moimi zabawkami [...]. Pokój taty był zawsze zavalony papierami i książkami, modelami. Tato pracował do późna w nocy. Lubilem do niego przychodzić, oglądać książki i rozmawiać [...]. Mieszkałem jeszcze w innych domach w Szwecji i USA, ale żaden z nich nie miał tyle słońca, ciepła i pogody co mój dom w Polsce”.

Pisze Zbyszek Bzymek, uczeń siódmej klasy. Urodzony w Warszawie. Dziś mieszka z rodzicami i siostrami w Storrs w stanie Connecticut. Chodzi do szkoły, jest lubiany przez kolegów. W wyborach do samorządu omal nie został prezesem (president) całej społeczności szkolnej; zabrakło kilku głosów. W lokalnej gazecie publikowano jego wiersze pisane po angielsku.

— Nauka w polskiej szkole idzie mi niezbyt łatwo — powie mi. — Wyjechałem z kraju mając pięć lat. Przez rok chodziłem do szkoły szwedzkiej, potem do amerykańskiej. Do polskiej, na Flushing dojeżdżam co dwa tygodnie. Dowozi mnie tato. W jedną stronę jedziemy trzy i pół godziny. W domu mówimy cały czas po polsku, ale jest to język potoczny. W szkole musimy posługiwać się trudniejszym językiem. Budować opowiadania na konkretne tematy, pisać wypracowania, czytać literaturę. Właśnie czytanie sprawia mi największe kłopoty. Czy mi jest potrzebna ta szkoła? Nigdy nie było takich dyskusji. To jest jasne. Moje siostry — Małgorzata i Dorota też kończyły polską szkołę i robiły w niej matury. Jesteśmy Polakami i będziemy...

Historia rodziny Bzymków stanowi temat na oddzielny reportaż. W 1981 roku docent Politechniki Warszawskiej, Zbigniew Bzymek jedzie na stypendium naukowe do University of Connecticut w Storrs. Jedną z córek, z pięcioletnim Zbyszkim jr. zostaje zaproszona do Lund w Szwecji, do babci. Żona z drugą córką pozostają w Warszawie. 13 grudnia zastaje

Czy pytanie o koszty zachowania polskości ma jakiegokolwiek uzasadnienie?

POLSKIE SŁOWO NA FLUSHINGU

Waldemar Piasecki

(Korespondencja własna z USA)

rodzinę Bzymków rozdzieloną i bez możliwości jakiegokolwiek kontaktu. Po niemal dwóch latach usilnych zabiegów dochodzi wreszcie do jej połączenia w Stanach („Nie mówny o kosztach osobistych. Mam może więcej siwych włosów. Nie jest to duża cena” — powie naukowiec).

W Storrs docent Bzymek pracuje w wydziale inżynierijnym nad wykorzystaniem sztucznej inteligencji w projektowaniu. Dzieci idą do szkół amerykańskich. Małgorzata szybko okazuje się najlepszą w Boden College i równocześnie najlepiej zdaje maturę w polskiej szkole na nowojorskim Flushing. Już w uniwersytecie okaże się równie zdolna i ten skieruje ją jako „visiting student” do słynnego Harvard University. Małgosia pobiera nauki na fakultecie biologii i filologii francuskiej, plasując się w ścisłej czołówce obu tych kierunków. Dorota daje się poznać w Storrs przede wszystkim ze względu na talent sportowy. Znakomicie jeździ na nartach i gra w koszykówkę. Już w college’u ubiegają się o nią dwa uniwersytety, proponują stypendia sportowe i miejsce obrotowej w

reprezentacjach uczelnianych. Ostatecznie wybiera ona jednak miejscowy UConn i kierunek fizykoterapii.

Zona docenta, w kraju ceniona specjalistka chirurgii plastycznej, jest w trakcie nostryfikowania dyplomu. A Zbyszek jr. — obok popularności w szkole, prób poetyckich — myśli o karierze dyplomatycznej. Mimo znakomitego wtopienia się w amerykańską społeczność Bzymkowie nigdy nie zastanawiali się, czy polska szkoła jest potrzebna ich dzieciom.

Hanna Zielińska jest dyrektorką szkoły na Flushing. Ma za sobą dziesięcioletni staż nauczycielski w kraju.

— Szkoła istnieje od ponad dwudziestu lat. Nauka odbywa się w niej systemem cotygodniowym, sobotnim. Nie może być inaczej, bo dzieci chodzą do szkół amerykańskich, gdzie — wbrew temu, co się mówi w Polsce — jest sporo pracy i dużo zadają do domu. U nas program obejmuje klasy od „zerówki” do maturalnej oraz przedmioty: język polski, historię i geografę, a także konsultacje z matematyki. Zakłada-

Wolicki bowiem nie mył się, bo dobrze wie, że tak nie jest; że źródła są inne, że są właśnie polsko-katolickie i dlatego trzeba wyszydząć ten fenomen: - Polak-katolik. Wolicki konsekwentnie traktuje polski Kościół, jego hierarchów, w konwencji siły politycznej, a nie religijnej: w roli osobliwej partii, instytucji, strony w polskich sporach wewnętrznych, w polskich rozgrywkach politycznych. Wolicki wie dobrze, że co niedziela kościoły wypełniają się milionami Polaków, ale dla niego są to chyba raczej zebrania polityczne, zgromadzenia partyjne. Tego nie powiedział, ale taka jest nieublagana logika motywacyjna tych narodowych pielgrzymek do kościołów i sanktuariów.

Co więcej: prymasowska interpretacja źródeł sukcesu polskiego katolicyzmu jest nie w smak Wolickiemu dlatego również, a może głównie dla-

rażają ducha narodowego. Prymas Glemp poczynając od pierwszych dni stanu wojennego, czynił politycznie wiele, aby dopomóc generalowi Jaruzelskiemu w pełnym „nawróceniu władzy bez jej... utraty”. (podkreślenia — H. P.).

Tego jeszcze nie było: Prymas jako cichy spoległa stanu wojennego! Jako pobłażliwy obserwator, który chętnie by się rzucił w ramiona generała, gdyby mu to wypadało uczynić. Może nawrócić się na komunizm? Niestety, na prawdziwe nawrócenie Krzysztofa Wolickiego nie może liczyć nawet legion misjonarzy. On do tej partii, czyli do Kościoła katolickiego w Polsce, z pewnością się nie zapisze.

Zabawnie brzmią — powołuję się tu na odpowiedzialność Wolickiego — podobno endeckie sympatie polskich komunistów odkryte przez Adama Brom-

politycznej Kościół zaczyna być niepożądany. Stara się jeszcze być stroną, ale staje się jedną z wielu stron, a nie, jak do niedawna, stroną główną. Dowodem tego — ciągle zdaniem Wolickiego — są rezultaty czerwcowych wyborów. Oto — przypomniał Wolicki — nie przeszedł żaden kandydat chadecji, którym Prymas udzielił poparcia przeciwko kandydatom „Solidarności”? Wolicki ogłasza więc uroczysto: „Kościół, w tym wykonaniu, przestaje być mediatorem i arbitrem”.

I tu w całej rozciągłości — wedle Wolickiego — odstania się osobliwy makiawelizm Prymasa. Cała energia oraz autorytet głowy polskiego Kościoła katolickiego kieruje się od pewnego czasu na rzecz tworzenia masowej politycznej partii katolickiej! Wolicki nazywa sprawę po imieniu: „Chodzi po prostu o stworzenie posłusznego narzędzia tak, aby samemu nie wkładać ręki w ogień”. (Podkr.: H. P.)

wyruszyć przeciwko polskiemu Kościołowi z zagranicy? Na to pytanie powinien jednak wyraźnie odpowiedzieć sam K. Wolicki, skoro przypisuje prymasowi pragnienie takiej krucjaty po oprostowaniu awantury o klasztor.

K. Wolicki w obecnej konstelacji sił politycznych w Polsce gotów jest znieść wszystko, tylko nie widmo masowej partii katolickiej. Komentuje to, kończąc swój artykuł wymownym porzekadłem francuskim: „Najgorsze nie zawsze jest pewne”.

JEGO tekst ukazał się w Wolnej Głębokim „Kulturze”, jest więc niejako niezobowiązujący dla redakcji tego pisma. Ot, redakcyjny Hyde Park, w nim Krzysztof Wolicki, jutro ktoś inny. Ale Krzysztof Wolicki niedawno pojawił się w głównym wydaniu dziennika polskiej telewizji, a to już nie jest Hyde Park, mamy nadzieję. Pojawił się i z miejsca „sflakował” wybory prezydenta Łodzi, potem zgromił swoich oponentów, którzy mieli czelność sprzeciwić się jego osądom w telewizji. Teraz niecierpliwie oczekujemy na demaskatorski cykl telewizyjny Krzysztofa Wolickiego skierowany pod adresem księdza Prymasa. Potem przyjdzie kolej na partię katolicką, na endecję i co tam jeszcze. Możliwe, że znacznie rozdawać własne licencje na patriotyzm, moralność, etykę, nauki społeczne i polityczne.

Ale dość ironii. Tekst Wolickiego, a także jego intencje to chyba dopiero wierzchołek góry lodowej. Dokąd ona zmierza? Komuniści-endece(?) schodzą ze sceny, jako importowana na bagnach sowieckich imperialna formacja ustrojowa i polityczna. Tę próżnię muszą wypełnić nowe siły polityczne. Skąd może teraz nadejść opozycja w stosunku do tych, którzy doszli do władzy? Artykuł Wolickiego pośrednio wskazuje kierunek takich zagrożeń. To orientacja narodowokatolicka. Bo partia o takiej proveniencji, pomijając już groźną jej masowość i popularność dla ludzi przeżartych fobiami anty-antysemityzmu, zawsze oznaczała i będzie jeszcze długo oznaczać zaściankowy patriotyzm — nacjonalizm i... masowe wznawianie dzieł Dmowskiego!

Trawestując cytowane kluczowe pytanie Wolickiego warto zapytać: jak to projekt polityczny żywi Krzysztof Wolicki, w realizacji którego awantura o wypowiedź Prymasa wydaje mu się aż tak przydatna? Pytanie stoł, ale nie liczymy na szczerą odpowiedź.

I... KRZYSZTOF WOLICKI

tego, że sukces ten ma rodowód endecki. A skoro endecki, to nacjonalistyczny i — czego Wolicki nie ukrywa — antysemicki. Zacytujmy autora:

„Sympatie księdza prymasa dla myśli endeckiej i osoby Romana Dmowskiego, którego broszurę zaszczylił osobistym listem-przedmową nie są dla nikogo tajemnicą. W tekście o intencjach bardziej propagandowych można by się w tym miejscu powołać na dość zenujące-konsekwencje tych sympatii: pobłażliwość wobec poczynań osławionego kościoła przy ulicy Zagórnej w Warszawie, czy też protekcja dla otwarcia ONR-owskich wystąpień prof. Gertycha”.

W tekście „bardziej propagandowym... można by się powołać...”. Ponieważ Wolicki jednak powołuje się w swoim tekście, zatem — chciał nie chciał — jego tekst jest jednak tekstem propagandowym, dodajmy — propagandowym od początku do końca.

WROĆMY jednak do dywagacji K. Wolickiego i zapytajmy, co wynika z tak zdemaskowanych przez niego endeckich zapędów Prymasa? Pisze wyraźnie: „Adam Bromke już dwanaście lat temu zauważył, że władza komunistyczna zrealizowała w Polsce większość ideałów endeckich, które przecież w opinii księdza prymasa całkiem poprawnie wy-

kego. Nie wiemy, gdzie Bromke dokonał tego odkrycia, chętnie pograżałbym się w lekturze tego dokumentu. Tymczasem niczego tak wściekle „polscy komuniści” z lat 50. — z gatunku Goldberga, Fejgina, Romkowskiego czy Bermanna — nie łepili jak endeckiej, oraz polskiego patriotyzmu rozumianego jako polski nacjonalizm. Skoro tak, to ideały endeckie zrealizowali może komuniści następnych ekip? Może gomulkowcy z ich rokiem '68? Może epoka Gierka, którego ekipę Zachód tak zgrabnie wpuścił w maliny pożyczek?

Ale przynajmniej — endecja była rzeczywiście antysemicka. I tu właśnie jest pies pogrzebany!

POWROĆMY do współczesności: jest rok 1989. Jesteśmy, zdaniem Wolickiego, u końca pewnej epoki, a zarazem na progu nowych kłopotów polskiego Kościoła. Skończyła się bowiem „gra Kościoła o ratowanie narodowej duszy”. Kościół oto odzyskał już niemal wszystko, owe wspomniane już symbole, lecz staje przed nowymi wyzwaniem. Mamy już pluralizm, prawa jednostki i całych zbiorowości w zasadzie stały się faktami, zatem Kościółowi wymknęły się z ręki, utraciły nośność podstawowe, spektakularne czynniki politycznego i duchowego przywództwa nad społeczeństwem. Co więcej — w obecnej grze

Wolickiego nie interesuje ewentualne pytanie katolików: a może to my, a nie tylko Prymas, chcemy stworzyć i należeć do partii katolickiej, własnej, wielomilionowej, patriotycznej, polskiej, a jak będzie trzeba, te o zabarwieniu endeckim? Czyżby nie wolno im tego zrobić w kraju pluralistycznym, w naszym własnym kraju?

Wolicki na razie niewielkie daje szanse powstaniu tej masowej partii katolików, ale diaboliczne kunktatorstwo Prymasa ujawnia w całej rozciągłości. Oto wyjaśnia, czemu w istocie służyć miał sprzeciw Prymasa w sprawie klasztoru karmelitanek. Sprzeciw ten był obliczony na negatywne reakcje światowej opinii publicznej. Reakcje te były „(...) z góry wkalulowane w rachunek: uprawdopodobniając werwę o antypolskim spisku i uzasadniając wezwanie, by wszyscy Polacy-katolicy wzięli się mocno za rękę... Takie inscenizacje mogą się oczywiście przydać w organizowaniu masowej partii katolickiej” (podkr.: H. P.).

Czyli powrót do tezy zasadniczej: Kościół czuje się silny i potrzebny tylko w stanie permanentnego zagrożenia, osaczenia. Ale — pytanie z mojej strony dyskretnie i cieniutkie — jaka to opinia publiczna, krucjata o jakiej proveniencji, miałyby teraz

my, że inne przedmioty uczniwie opanowują w szkole amerykańskiej. W tej chwili chodzi do nas 136 dzieci. Najwięcej, bo po siedemnaścioro, do klas: piątej i siódmej, a czternaścioro do pierwszej licealnej. W „zerówce” rozpoczęło naukę siedmioro maluchów.

Kto u nas uczy? W tej chwili dziewięć nauczycielek po wyższych studiach w kraju i ze specjalistycznym przygotowaniem pedagogicznym, a więc kadra na poziomie krajowym.

Pora na bliższe dane adresowe. Placówka przy 163 Street na Flushingu nosi nazwę: Szkoła Polska przy Konsulacie Generalnym PRL w Nowym Jorku. Do niedawna według standardów większości Polonii amerykańskiej była to zatem szkoła „reżimowa”, chociaż od wielu lat zawsze uczęszczało do niej kilkoro dzieci Polonusów. Naturalnie także dzieci pracowników polskich przedstawicielstw, stypendystów, spółek polsko-amerykańskich czy Polaków zatrudnionych przez firmy amerykańskie. Korzyści płynące z uczęszczania do szkoły polegały przede wszystkim na uzyskiwaniu polskich świadectw szkolnych (trzy przedmioty ze szkoły polskiej plus pozostałe według ocen na świadectwie amerykańskim), co w naturalny sposób umożliwiało kontynuowanie nauki w Polsce, a w przypadku matury — wstęp na wyższe studia.

Jak powie mi matka jednej z uczennic (urodzonej już w USA), możliwość wyboru kariery dla dziecka, wynikająca z szansy studiowania w Polsce, ma dla ich rodziny wielkie znaczenie. Mimo, że są obywatelkami USA, zamierzają posłać córkę na medycynę do kraju, bo poziom nauczania wcale nie jest niższy, a za to... dużo taniej.

W bieżącym roku szkolnym młodzież polonijna stanowi 10 procent uczących się, ale od pewnego czasu zainteresowanie nauką w szkole na Flushingu jest takie, że proporcja ta mogłaby szybko ulec zmianie na korzyść Polonusów. Nietrudno zgadnąć, że ma to związek ze zmianami politycznymi w Polsce. Dziś Konsulat Generalny przy Madison Avenue 233 coraz większym gremiom polonijnym kojarzy się z rządem

Mazowieckiego, a nie z poprzednimi ekipami, określanymi mianem „reżimowych”.

Taki zwrot wydaje się nie tylko realistyczny, ale rokuszący pomysłom na przyszłość, zwłaszcza gdy przypomnimy deklaracje w sprawie oświaty polonijnej szefa dyplomacji, Krzysztofa Skubiszewskiego czy podobne nuty w wystąpieniach premiera Mazowieckiego. Wydaje się, że ochrona słowa polskiego w świecie, wszędzie tam, gdzie są Polacy, powinna być sprawą polskich przedstawicielstw dyplomatycznych i konsularnych. Być może koszty realizacji takiego programu byłyby niemałe, ale czy w ogóle pytanie o koszty zachowania polskości ma jakiegokolwiek uzasadnienie moralne? Czy to nie winno być tak oczywiście, jak to, iż każdemu Polakowi należy się polski paszport?

Problem, o którym piszę ma też swoją inną, delikatną konotację. W USA (i gdzie indziej) działa sieć szkolnictwa polonijnego. Programy nauczania realizowane są w niej w sposób bardzo różny i na wiele zróżnicowanym poziomie. Być może zaistniały już warunki do poważnych rozmów władz edukacyjnych Kongresu Polonii Amerykańskiej (podlegają im 83 szkoły w USA) z Ministerstwem Edukacji Narodowej w Warszawie nad ujednoczeniem programów nauczania, tak aby sieć szkolnictwa w kraju była dostępna dla młodzieży polonijnej. Czy taki właśnie system nacyjnych połączonych nie wydaje się najprostszą i najkrótszą drogą do odbudowy pozycji języka polskiego wśród naszej diaspory?

Konsul generalny w Nowym Jorku, Waldemar Lipka-Chudzik zdaje się podzielać taką filozofię i czyni starania, by uruchomić nową szkołę polską znacznie większą od obecnej (bo na Flushingu miejsce po prostu się skończyło!). Ma to dla niego wymiar działalności niemal organicznej, pozytywistycznej. Nie kryje nadziei, że znajdzie sojuszników dla utworzenia nowej szkoły polonijnej — także w kraju.

— Dla tej idei udało mi się już zjednać rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesora Aleksandra Koja — mówi konsul. — Obiecał zapewnić patronat krakowskiej Alma Mater oraz udział w nauczaniu licznych stypendystów tego uniwersytetu, jacy prze-

bywają co roku w Nowym Jorku i okolicznych stacjach. Nie kryję, że taki patronat przydawałby szkole dodatkowego blasku... Być może inne uniwersytety polskie mogłyby się podjąć podobnej roli wobec innych ośrodków Polonii w świecie.

Z kolei ojciec jednego z uczniów wyklada swój stosunek do takiej idei dość jasno i nieskomplikowanie: „Jak to jest, że ambasada USA w Warszawie może prowadzić dużą szkołę dla wszystkich chętnych, a my nie? Przecież gdyby nawet trzeba było jakoś pomóc finansowo, też byśmy nie pożałowali...”.

Tymczasem na Flushingu...

Michał Karbownik z klasy siódmej pisze w swoim wypracowaniu „Wymowa tytułu »Kamienie na szaniec« książki A. Kamińskiego” tak:

„[...] Siły Niemców były ogromne, zaś ci młodzi ludzie uzbrojeni byli tylko we własne pomysły, skromne siły i miłość do Ojczyzny. Ich bronią była chęć pokazania Niemcom, że Polska żyje i nie zginęła”.

A Bartek Stanisławczyk, wybierając wolny temat, konstruuje taką wizję:

„[...] Drzwi zasyczały. Astronauta wyrzwał z ładownika. Już schodzi po drabince. I oto pierwszy krok na Marsie. Astronauta Bartek Stanisławczyk i później schodzący John McKinley są pierwszymi ludźmi na tej planecie. Teraz wyjmują flagę i drugi astronauta — też. I oto dwie flagi, polska i amerykańska, zaczęły powiewać na powierzchni Marsa. Ten dzień przejdzie do historii”.

W tym samym czasie na geografii w klasie piątej Alek Wrzesień określa położenie wysp Galapagos i stolicy Polski.

A w czwartej klasie pani od polskiego cierpliwie wyjaśnia, że nie mówi się „Słucham do radia”, jak podpowiada składnia angielska, a „słucham radia”. Podobnie też nie trzeba strofować ojca, że uderzył „Cadiłłakiem” „do drzewa”, a „w drzewo”.

Za tydzień na Flushingu następne zajęcia. Trzydzieści siedem osób w roku...

„Generalskie karakuly w niczym nie przypominały wojskowego munduru”

WSZYSTKO byłoby w porządku, gdyby nie wścibstwo celników. Szperali, zaglądali, aż się dogrzebali. Generalskie karakuly w niczym nie przypominały im wojskowego munduru. Czerni futer wyraźnie klóciła się z zielenią, obowiązującą w siłach zbrojnych PRL. Co do tego, kontrolujący bagaż nie mieli wątpliwości. Miał je natomiast generał, któremu zdecydowanie nie podobały się poczynania służb celnych kwestionujących prawidłowość przewożenia towaru. Nie pomogły jednak nalegania, ani łagodna perswazja w stylu: pan wie, kto ja jestem? Generał, rad nie rad, musiał zapłacić grzywnę za przemyt futer ze Związku Radzieckiego.

Takie przypadki jak ten, sprzed prawie 20. lat, zdarzają się rzadko. Generalicja wojska polskiego nie należy raczej do stałych „klientów” Urzędu Celnego w Terespolu. Chociaż, jak twierdzi naczelnik tamtejszego Oddziału Celnego, Bolesław Sakowicz, przekrój społeczno-zawodowy amatorów turystyki związanej jest tak różnorodny, że nie zdziwiłby go nawet widok księdza szmuglującego pod sutanną spodnie w kolorze blue. Ludzie bowiem od lat są tacy sami. Zmieniają się jedynie towary i pieniądze, a granica, jak najczulszy barometr, notuje spadek i wzrost zainteresowania handlem na przemysłowym rynku. Rynku, którego finansowych obrotów nie powstydziłoby się żadne przedsiębiorstwo w Polsce.

Tylko w ciągu 11 miesięcy ubiegłego roku — wyliczał naczelnik Sakowicz — wszczęto 1127 spraw karno-skarbowych oraz zajęto towary i dewizy wartości przeszło pół miliarda złotych. Jeżeli zaś zgodzić się z oceną specjalistów, że wykrywalność nie przekracza 10 proc. całego przemytu, to owe 500 mln zł urosnie nam do kilku, jeśli nie kilkunastu miliardów złotych. Za tymi liczbami kryją się setki szmuglerskich afer, o których celnicy z Terespoła mogliby opowiadać godzinami.

Do pociągu relacji Praga — Warszawa — Moskwa weszli jak zwykle. Spokojnie i bez zbędnych emocji. Tym bardziej, że w kręgu ich zainteresowań znajdowali się obywatele zaprzyjaźnionej Czechosłowacji. W przedziale, zajmowanym przez dwóch „południowców”, stało kilka pekatych toreb podróżnych ze 160. parami dzinsów, których pochodzenia obaj Czesi nie umieli wyjaśnić. Początkowo tłumaczyli, że ktoś podrzucił im ten towar, kiedy wyszli do toalety. Później opowiadali o jakichś Polakach, którzy zostawili torby tylko na chwilę i więcej się nie pokazali. Brzmiało to jednak dość mętnie i nieprzekonywująco. Celnicy nie dali wiary tym bajkom. Przyciśnięci do muru Czesi (jak się później okazało, jeden z nich był sekretarzem komitetu powiatowego partii, delegowanym na studia do ZSRR) odskonił kulisy przemysłowego procederu.

Wiedząc o tym, iż turyści jadący tranzytem przez Polskę są kontrolowani raczej rzadko, dogadali się z trzema naszymi studentami, którzy dostarczyli im spodnie na dworcu w Warszawie. Po czym cała piątka spokojnie jechała do Związku Radzieckiego, gdzie upłyniano towar. W domach Polaków znaleziono jeszcze kilkadziesiąt par spodni przygotowanych do następnej wysyłki. Nawet przy

skromnych wyliczeniach, na tej swoistocie rozumianej współpracy między krajami RWPG, Lech z Czechem zarabiali jednorazowo kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Innym razem, starszy jegomość usiłował przemyścić 1200 zegarków elektronicznych z bransoletami o łącznej wadze 60 kg, za które w ZSRR otrzymałby prawie 50 tys. rubli (pisała o tym lubelska prasa). Dodatkowo miał na sobie specjalny pas z kieszonkami, w których znajdowało się 70 takich samych zegarków, stanowiących zapewne zapłatę za przerzut czasomierzy przez granicę. Jednym z organizatorów całego przedsięwzięcia był Żyd — obywatel radziecki na stałe miesz-

procentowała krociowymi sumami. Przykład z maja 1989 r.

DWAJ mieszkańcy Białej Podlaskiej wieźli do Związku Radzieckiego „upominki” w postaci 5300 sztuk okularów przeciwsłonecznych, które celnicy — po skonfiskowaniu — wycenili na 5 mln zł. Gdyby nie zatrzymano zwolenników słonecznych kąpiel, to za każdą przewiezioną sztukę otrzymaliby po drugiej stronie 8 rubli. Po zredukowaniu kosztów własnych, zarobili by na czysto ponad 35 tys. rubli (nowa Łada-Samara kosztuje na radzieckiej giełdzie 28—30 tys. rubli), co — w przeliczeniu na złotówki po kursie czarnorynkowym — daje mniej więcej 22 mln zł, a licząc

ZJEDNOCZONA EUROPA W TERESPOLU

Zbigniew Dzieciolok

kający w Polsce. Jego współnika, Polaka, do tej pory poszukuje nasza milicja.

Dwa lata temu dwójka polskich studentów, studiujących w Taszkencie, postanowiła zaopatrzyć uzbeckie kobiety w kilka tysięcy syryjskich chustek (po 10 rubli za sztukę, gdyby transport dojechał na miejsce). Do transakcji nie doszło, jako że celnicy nie poznali się na „filantropijnej” działalności Polaków, konfiskując towar w całości. Takiego obrotu sprawy nie przewidzieli przedsiębiorczy rodacy. Późniejsze oględziny przedziału wypadły pomyślnie. Bagaże były w porządku, papiery również. I chyba tylko zawodowe przecucie kazalo pracownikom Oddziału Celnego w Terespolu zainteresować się bliżej materacami i poduszkami, które na pierwszy rzut oka niczym nie różniły się od pozostałych w wagonie sypialnym. Po rozpruciu okazało się, że oryginalne wyposażenie śpiącego studenta wyrzucili po prostu przez okno, zastępując je przemycanymi chustkami. Początkowo, podobnie jak Czesi, nie przyznawali się, usiłując wmówić celnikom, że nastąpiło totalne nieporozumienie, a oni padli ofiarą oszustów, którzy podłożyli im świnie w postaci syryjskiej galanterii. Rewizja domowa rozwiała wszelkie wątpliwości. Identyczne chustki znalezione u obojga „turyستów” potwierdziły stawiane im zarzuty. Historia tej handlowej podróży (zresztą jak większość podobnych) znalazła swój finał przed sądem.

Milionowe grzywny nie stanowią specjalnej przeszkody dla tysięcy Polaków szturmujących co roku granicę z ZSRR. Ryzyko wypadki jest jak jeden do dwóch, a zysk, jeżeli się uda, idzie czasami w dziesiątki milionów złotych. Celnicy nie są w stanie sprawdzić wszystkich. Z ponad 4200 tys. osób, które w ubiegłym roku przekroczyły granicę w Terespolu, połowa miała szansę przewieźć bezpiecznie przemycane towary. Ich sprzedaż bądź wymiana na radzieckim rynku, w Polsce

rubla po cenie państwowej — prawie 50 mln zł. Pod koniec ubiegłego roku średnia miesięczna płaca oscylowała w granicach 500 tys. zł. Trzeba by zatem pracować 4 lub 8 lat (w zależności od tego, jaki kurs rubla przyjmiemy), aby zarobić tyle, ile wyniosłby zysk z kilkudniowej wycieczki do ZSRR. Nic więc dziwnego, że nielegalnie przewozi i handluje różnorodnymi towarami ponad 90 proc. turystów.

Z dokumentów, jakimi dysponują w Urzędzie Celnym w Terespolu wynika, że wśród zatrzymanych trafiali się zarówno studenci, jak i naukowcy (adiunkt z Białej Podlaskiej usiłował przemyścić sprzęt komputerowy wartości kilku milionów zł), zwykli złodzieje i pijani oficerowie milicji (obuwie, telefony, halogeny, kosmetyki), szeregowi członkowie partii i sekretarze komitetów miejskich i wojewódzkich, lekarze, inżynierowie, robotnicy kontraktowi, nauczyciele, a nawet pracownicy dyplomatyczni polskich placówek konsularnych w Związku Radzieckim.

— Niechby i handlowali — mówił dowódca Granicznej Placówki Kontrolnej Wojsk Ochrony Pogranicza w Terespolu, płk Jerzy Tabuński — ale nie tak pazernie, zachłannie, jakby od tego miało zależeć całe ich życie. Gdyby nie taka postawa turystów, to odprawa celna przebiegałaby znacznie sprawniej i mniej nerwowo.

Przyпускаjąc jednak, że, słusznie skądinąd uwagi płk. Tabuńskiego jeszcze długo pozostaną w sferze pobożnych życzeń i nadziei. Chęć posiadania zwykle bywa silniejsza od chęci bicia. Pieniądże nie śmierzdzą, jak zwykły mawiać cesarz Wespazjan.

Rodzaj i pochodzenie przemycanych towarów świadczą również o stosunkach gospodarczych Polski ze wschodnim sąsiadem.

10 lat temu, upoważniona do handlu zagranicznego firma, eksportowała do ZSRR walizkowe maszyny do szycia typu „Łuczniczka”. Teoretycznie powinnismy się cieszyć. Bo po to się przecież handluje, aby zarobić. Jako że dostawa była hurtowa, odbiorca ra-

dziecki narzucił w detalu odpowiednią marżę, bo po to się przecież handluje, aby zarobić. Przeciwny obywatel radziecki z żyłką do interesu kupował maszyny i przemycał je do Polski. Tutaj sprzedawał je oczywiście z nadwyżką, bo po to się przecież handluje, aby zarobić. Polska szwaczka z pocałowaniem w rękę płaciła za taki cymes, gdyż w naszych sklepach „Łuczniczków” nie było, a jak się pojawiały, to w cenie wyższej niż zapłacona w Warszawie. Znaczna różnica była dla krawcowej czystym zyskiem. Bo po to się przecież handluje, aby zarobić. Ile „zarobiliśmy” na eksporcie maszyn do szycia pozostanie zapewne słodką tajemnicą firmy, która je eksportowała.

Podobnie jest dzisiaj m.in. z przetworami owocowymi. U nas słoik dżemu kosztuje 1500 zł. Ten sam słoik dżemu można dostać w ZSRR już za jedyne 33 kopiejki (państwowa cena rubla wynosiła w grudniu u.b.r. około

1400 zł, czarnorynkowa nie przekraczała 600 zł). Może obecny rząd tak ureguluje stosunki gospodarcze z Moskwą, aby rzeczywiście nazywały się one partnerskimi i były oparte na zdrowych zasadach handlu zagranicznego. Póki co, zarabiają wszyscy, tylko nie skarb państwa, a przemytnicy śmieją się w kulak, ściągając polskie towary zza Bugu.

Wschodnia granica nie należy raczej do szlaków uczęszczanych przez ludzi, którzy, z sobie tylko wiadomych względów, omijaliby oficjalne przejścia graniczne. To nie południe Polski, gdzie wykorzystując górzysty i zalesiony teren, łatwiej przedostać się na drugą stronę do Czechosłowacji. Bug, stanowiący naturalną przeszkodę, praktycznie eliminuje przemyt bez paszportu. Zdarzają się jednak pojedyncze próby przekraczania granicy „na dziko”.

W ubiegłym roku pięciu chłopców z Mińska w wieku 11—15 lat ukryło się w wagonie towarowym pod konstrukcjami metalowymi. Tak schowani przyjechali do Polski. Kiedy ich zatrzymano tłumaczyli, że chcieli u nas posłuchać muzyki młodzieżowej, a jeden z tych młodocianych melomanów dotarł prawie do granicy na Odrze i Nysie, z wyraźnym zamiarem kontynuowania edukacji rockowej na Zachodzie. Widocznie mali mińszczanie chcieli pójść w ślady braci Zielińskich, którym kilka lat temu udało się nielegalnie wyprawa do Szwecji.

Natomiast do ZSRR próbują uciekać dezertery z armii radzieckiej stacjonującej w NRD. Nie wytrzymują psychicznie rozłąki z domem, bliskimi i niczym kamikadze pchają się na oślep do swoich. Jak wielka musi być desperacja tych ludzi, skoro decydują się na ucieczkę przez dwie granice tylko po to, aby w efekcie wylądować w więzieniu?

Zjednoczona Europa brzmi w Terespolu jak dobry żart, opowiedziany między jedną a drugą odprawą celną.



PREZENTUJEMY tekst doktora Zbigniewa Gnata-Wieteski o masakrze oddziału z 15 pp AK, dowodzonego przez ppor. Mieczysława Zielińskiego ps. „Moczar”. Sprawcami bratobójczej zbrodni we wsi Owczarnia byli AL-owcy z oddziału Bolesława Kowalskiego — „Cienia”, późniejszego pułkownika LWP. O tym bandyckim wyczynie „Cienia” pisał w 25 (62) numerze „Tygodnika Solidarność” Cezary Chlebowski. Tekst Zbigniewa Gnata-Wieteski, zamówiony u autora przez naszą redakcję na długo przed ukazaniem się opracowania Chlebowskiego, publikujemy z nadzieją poszerzenia wiedzy na temat owych tragicznych wydarzeń.

I jeszcze jedno. W 30. numerze naszego pisma wydrukowaliśmy list-apel Janiny Aleksandry Król-Nowickiej w sprawie poszukiwania informacji o działalności „bohaterskiego oficera AL, B. Kowalskiego — „Cienia”. Autorka listu, pragnąca napisać pracę magisterską z historii, podała, jako własny, adres... Aresztu Śledczego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie (co ustalił Cezary Chlebowski). Ktokolwiek byłby autorem tego listu — dał dowód grubiaństwa, bo naigrzanie się z ludzkich dramatów nie jest zartem, lecz chamstwem. Czytelnikom zostawiamy ocenę „bohaterskiej” działalności ppor. Kowalskiego.

(Red.)

W OSTATNIM okresie coraz więcej wydarzeń z lat okupacji niemieckiej, przemilczanych dotychczas, bądź wstydliwie ukrywanych, znajduje odbicie w licznych artykułach na łamach prasy i periodyków historycznych. Należy do nich m.in. zagadnienie walk bratobójczych. W dotychczasowej literaturze przedmiotu opisywano często akcje oddziałów NSZ przeciwko lewicowej partyzantce, m.in. likwidację oddziału GL w dniu 9 sierpnia 1943 roku. Oddział Akcji Specjalnej NSZ, dowodzony przez Adama Goldfingera ps. „Step” — na rozkaz szefa AS Okręgu Lubelskiego Leonarda Zub-Zdanowicza ps. „Zab” — dokonał pod Borowem masowego mordu na 26 partyzantach oddziału GL im. Jana Kilińskiego oraz 4 mieszkańcach Borowa przebywających w oddziale. Wskazywano także na wrogie nastawienie AK do GL-AL i likwidację przez jej oddziały wielu GL-owców i AL-owców. Można tu wspomnieć cykl artykułów Mariana Malinowskiego w „Życiu Literackim” (nr 1777 w 1986 r.) pt. „W imię prawdy historycznej. O genezie walk bratobójczych i wojny domowej”. Nie pisano natomiast, że i AL przeprowadzała akcje likwidacyjne. A i takie czyny, równie haniebne i zbrodnicze, miały miejsce w okupowanym kraju.

W dniu 4 maja 1944 roku w Owczarni na Lubelszczyźnie oddział AL ppor. Bolesława Kowalskiego ps. „Cień”, wspomagany, jak utrzymują niektórzy świadkowie wydarzeń przez część oddziału Edwarda Gronczewskiego ps. „Przepiórka”, napadł na kwatery w wsi oddział z 15 pp AK ppor. Mieczysława Zielińskiego ps. „Moczar”. Podstępnie zamordował 18 i ranił 13 żołnierzy AK.

Zacytujmy fragment wspomnianego opracowania M. Malinowskiego. „Bezpośrednio po zbrodni pod Borowem kierownictwo PPR uznało za konieczne skoncentrować większe siły GL, w celu demonstracji jej możliwości bojowych i studzenia zapędów zwolenników przelewania krwi bratniej. Warto odnotować — pisze M. Malinowski — że kiedy wiosną 1944 zaktywizowały się na Lubelszczyźnie NSZ, postanowiono utworzyć silne zgrupowania AL, w skład których weszły oddziały: Bolesława Kowalskiego »Cienia«, Edwarda Gronczewskiego »Przepiórki« i Zbigniewa Pietrzyka »Zbyszka«. Tracący autorytet i oparcie NSZ-owcy postanowili zlikwidować te zgrupowania. Próbę podjęli w Mornopolu, w powiecie Janów Lubelski, napadając nad ranem 22 kwietnia 1944 na żołnierzy AL. W napaści uczestniczyły oddziały NSZ: »Zęba«, »Znicza« i »Cichego«. Atak został odparty przy znacznych stratach NSZ i 7 poległych żołnierzy AL. Zadaniem zgrupowania była nie tylko obrona własnych ludzi. Przyświecał im również inny cel. W raporcie z dnia 5 maja 1944 r. por „Lis” — Tadeusz Szymański, komendant Okręgu V AL donosił dowództwu Obwodu Lubelskiego: „Oddziały »Błyskawicy« (dowódca Zbigniew Pietrzyk ps. »Zbyszka« — przyp. mój), »Cienia« i »Przepiórki« jako oddziały szturmowe dostały rozkaz tropienia i rozbijania oddziałów NSZ aż do ostatecznego ich zlikwidowania i rozbicia. Wszystkie te oddziały zgodnie z rozkazami, wyruszyły w teren. Rozkazy te miały być wykonane mniej więcej do 10.V.44”. („Gwardia Ludowa i Armia Ludowa na Lubelszczyźnie 1942—1944”. Lublin 1960, s. 221).

Wspomniany wcześniej oddział AK ppor. „Moczar”, znany też jako oddział „Hektora” lub Oddział Leśny 3/15 pp AK „Wilków” powstał we wrześniu 1943 r. na terenie Podobowodu B — Puławy AK, skupiając początkowo w swoich szeregach kilku ludzi „spaionych” — zdekonspirowanych. Byli wśród nich m.in.: por. rez. piech. Zdzisław Targosiński ps. „Hektor”, Aleksander Maruszak ps. „Zubr” (zginął 6 I 44), „War”, „Kłos”, Kazimierz Szczepański ps. „Korczak”, Władysław Henszke ps. „Dżym” (poległ 6 I 44), Stanisław Bogusław Jakubiński ps. „Junior”, ppor. Bogdan Kosiński ps. „Mars”, Jerzy Ludwiczak ps. „Fiat” i „Zbik”. Do zadań oddziału należała likwidacja grup bandyckich oraz konfidentów skazanych przez sądy podziemne na karę śmierci.

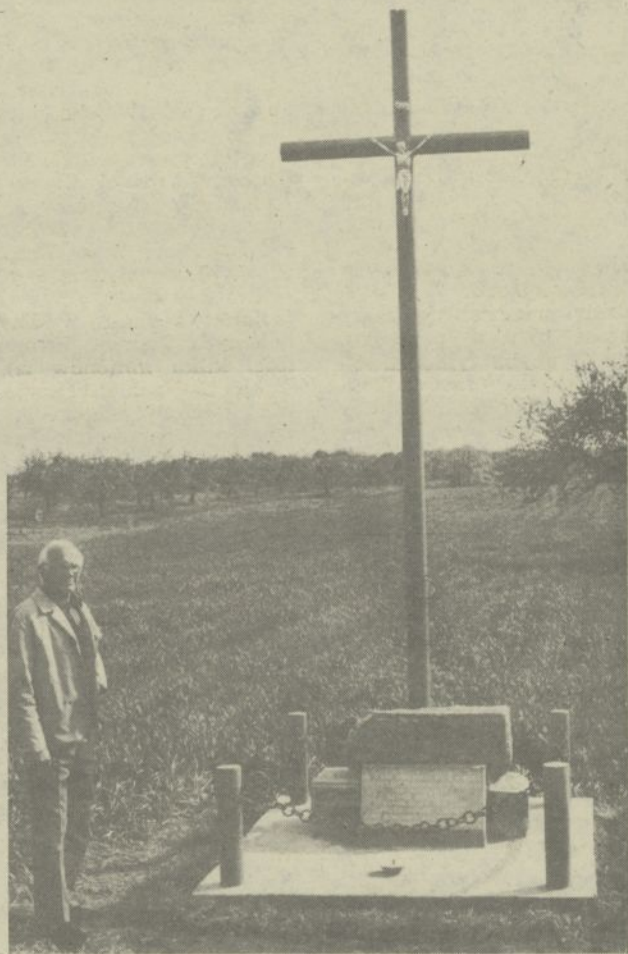
W dniu 6 stycznia 1944 r. czteroosobowy patrol w składzie: „Zubr”, „Dżym”, „Fiat” i „Korczak” — dowodzony przez „Zubra” — rozbroił niemiecką załogę tartaku w Żyrzynie. Znaczna rozbudowa oddziału nastąpiła w pierwszych miesiącach 1944 r. Jego szeregi zasilili wówczas ludzie zagrożeni aresztowaniem oraz przekazani do niego czynni członkowie siatki terenowej. Powstały wówczas pierwsze sekcje: „Korczaka”, „Fiata” i „Orla”, a później drużyny „Marsa” i „Delfina” (Tadeusz Lubeł). W skład pierwszej wchodziły sekcje „Dąbrowy” (Stanisław Brzeziński), „Asa” (Edward Szans) i „Fiata” (Jerzy Ludwiczak).

W kwietniu sekcja „Asa” przekształciła się w sekcję zwiadowczą. Wynikało to z specjalnych zadań przewidzianych dla drużyny „Marsa”. Sekcja dość szybko powiększyła swój stan osobowy i konny. Niektórzy przychodzili nawet ze swoimi końmi np. „Roland” (Franciszek Zadura) i „Roch” (Wacław Jasiocha). Pod koniec miesiąca oddział miał już 12 kon-

nych i 6 koni do 3 wozów taborowych, których liczbę ograniczono następnie do jednego wozu — na obrok i amunicję.

W jedną z nocy kwietniowych 1944 r. sekcja konna, zajmując kwatery w niewielkiej kolonii za nieznaną z nazwy wioską, natknęła się na oddział „Cienia”. Rozmowę z „Cieniem” i jego adiutantem, przebywającymi wówczas na wiejskim weselu, przeprowadził dowódca zwiadowczy „As” w towarzystwie wachm. „Strzemie” (Marian Tomaszewski). Jak się okazało, „Cień” proponował już wówczas „Przepiórce” — o czym mówił meldunek znaleziony u miejscowego chłopca usiłującego opuścić wieś — akcję likwidacji

Zbigniew Gnat - Wieteska OWCZARNIA 1944



Krzyż z tablicą pamiątkową ustawiony na miejscu zbrodni 7 V 1988 r. Obok Władysława Koziej ps. „Dobry”.

dobre uzbrojonej sekcji „Asa”. Po wyjaśnieniach „Cienia” tłumaczącego się rozkazami i nadmierną ostrożnością, ustalono hasło „Cień — Korczak” mające zapobiec ewentualnym pomyłkom przy nocnych spotkaniach. „Cień” zaznaczył także, że chociaż różnie wyobrażają sobie wolną Rzeczpospolitą, to jednak ważne jest, że w imię jej wolności walczą przeciw wspólnemu wrogowi. W następnych dniach oddziały spotkały się 2—3 razy w terenie; były to kontakty w marszu, polegające na rozpoznaniu się, wymianie hasel i informacji, gdzie są Niemcy, z zapytaniem o potrzebę pomocy i spokojnym rozejściu się.

Pod koniec kwietnia 1944 r. na miejsce ppor. „Marsa”, dowodzącego oddziałem w terenie w zastępstwie „Hektora”, przyszedł ppor. „Moczar”. Było to związane z akcją jaką miał przeprowadzić oddział — odbioru zrzutu poza terenem dotychczasowej działalności. W skład wydzielonego oddziału „Moczara” w sile 48—50 ludzi wchodziły: zwiadowczy konny w składzie 14 konnych plus 1 wóz taborowy oraz sekcje „Fiata”, „Dąbrowy”, plut. „Sępa” (Józef Zuchniarz) i sierż. „Pingwina” (Jan Janiszewski). Uzbrojenie stanowiły: 1 ckm, 1 rkm MG-15, 8—10 pistoletów maszynowych, 1 samozaradka i karabiny Mauser. W tym czasie — jak utrzymuje Władysław Koziej ps. „Dobry” — oddział „Hektora” liczył około 77 ludzi.

3 maja oddział „Moczara” zajął kwatery w wiosce Wandalin, niedaleko Opola Lubelskiego, ubezpieczając się czujkami. Po południu radio Londyn nadało melodię — hasło planowanej akcji zrzutowej. Niedługo później do oddziału dotarł ppor. „Żuraw” — Ignacy Franciszek Kamiński, oficer do spraw zrzutów przywożąc bryczką lampy — światła pozycyjne

i osprzętowanie zrzutowiska. Przeladowano to na wóz taborowy i „Żuraw” odjechał oblecując swój powrót następnego dnia. W nocy oddział opuścił dotychczasowe miejsce postoju i w godzinach przedpołudniowych dotarł do wioski Owczarnia położonej w gminie Wrzelowiec, około 20 kilometrów na południe od Opola Lubelskiego. Stał tam na kwaterach w trzech gospodarstwach; dwóch sąsiadujących i jednym na skraju wioski.

W gospodarstwie Janiny Krawiec razem z sekcją „Asa” przebywali oficerowie. Tam też zainstalowano baterijny aparat radiowy. Po krótkim odpoczynku „Moczar” zorganizował ćwiczenia całego oddziału na pobliskiej łące. Wystawione posterunki ubezpieczyły teren. Po wiosce, jak się zorientowano, kręciły się grupki i pojedynczy członkowie AL, obserwując bacznie zachowanie się ludzi „Moczara”. Meldowano o nich dowódcy. Ten jednak, znając zasady porozumienia z „Cieniem”, polecił ich nie zatrzymywać, a jedynie obserwować.

Dzień był ciepły, słoneczny. Część żołnierzy korzystając z przyjazdu ppor. „Siejby” (Władysław Szkutnik) z aparatem fotograficznym robiła sobie, mimo zakazu, zdjęcia. W odwiedziny do oddziału przyjechali także ppor. „Mars” i ppor. „Polonus” (Mieczysław Chabros). Wraz z nimi powrócił także ppor. „Żuraw”. Nadana w południe melodia potwierdziła zapowiedziany zrzut. Ładna pogoda rozluźniała. Jedni odpoczywali, inni czyścili broń. Nastrój podniecenia udzielił się także dowódcy — miała to być jego pierwsza samodzielna akcja związana z odbiorem zrzutu. Spoczywała na nim odpowiedzialność nie tylko za własnych ludzi, ale i za sprawne przyjęcie pojemników ze sprzętem, cichociemnych oraz odskok z nimi na inny teren.

O godzinie 17. ppor. „Moczar” wydał rozkaz przygotowania do wymarszu na położone w odległości około 10 kilometrów zrzutowisko (w rejonie Ratoszyna). Przystąpiono jednocześnie do zwijania umieszczonej na pobliskim drzewie anteny radiowej. W tym momencie rozległy się strzały. Zdejmujący antenę z jękiem zwałił się na ziemię. Przebywający jeszcze na kwatery ludzie „Moczara” zaczęli wybiegać z domów. Ujrzeni ludzie nacierających od strony sadow i przepływającej opodal rzeczki. Ostrzeliwały się już ubezpieczenia usiłując powstrzymać atak z trzech stron na wioskę, omijając bokiem kwatery sekcji „Fiata” w jednym z pierwszych gospodarstw. Od strony wzniesienia — równoległego do wioski — atakowała grupa dowodzona przez „Wanię”, oficera Armii Czerwonej narodowości gruzińskiej, natomiast wzdłuż drogi przecinającej wieś — z jednej strony grupa „Cienia”, z drugiej — „Mietaza”.

Do walki włączyli się żołnierze z oddziału AK. Ogień wzmagał się, tyraliera atakujących załamała się. Zaczęły rozlegać się głosy atakujących: „Nie strzelać, tu Polacy!”

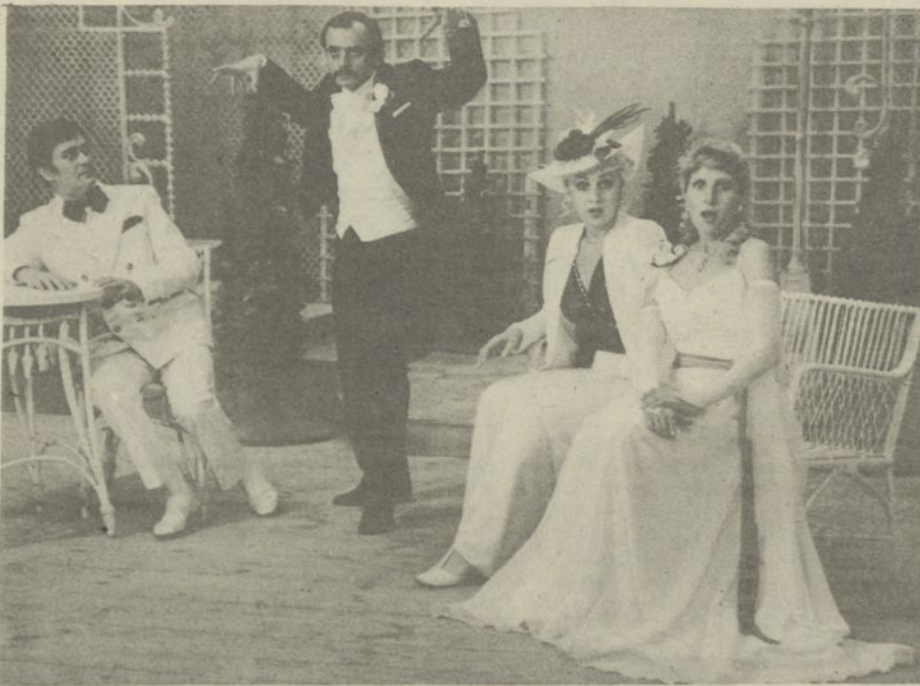
„Moczar”, który wybiegł przed kwatery i spostrzegł, że atakujący to nie Niemcy, wezwał do przerwania ognia. W pamięci ocalałych i żyjących jeszcze jego ludzi utkwił widok ppor. „Marsa” biegnącego wiejską drogą z białym ręcznikiem w ręku. Obie strony przerwały ogień. Atakująca grupa zbliżyła się do wioski i wówczas zaatakowani rozpoznali wśród nich „Cienia”, z którym przecież tak niedawno wymienili hasła. Na wzburzenie „Marsa”, zbliżający się wyrazili ubolewanie z powodu „nieporozumienia”. Jego skutki były jednak tragiczne — wielu rannych oraz zabici. Po stronie atakujących — Rosjanin ps. „Pietia” i plut. Marian Magierowski ps. „Lampa” z Niedzowa. Ppor. „Żuraw”, widząc co się dzieje, wsiadł na rower stojący pod ścianą kwatery i ze słowami: „To nie pomyłka. Tu nie będzie dobrze. Jadę po pomoc” — odjechał w stronę miejscowości Boby. Znalazono go później zabitego.

Tymczasem „Cień”, który wkroczył już ze swoimi ludźmi do wioski, przeproszał „Moczara” za pomyłkę, tłumacząc się, że otrzymał — według jednych — informację o pobycie Niemców w wiosce, według innych — o kwatowaniu NSZ. Trzeba dodać, że na Lubelszczyźnie AL-owcy nagminnie identyfikowali AK z NSZ. Zdenerwowany „Moczar” zarzucił „Cieni” gradem pytań: „Jak to możliwe? — pytał. — Ustalono przecież hasła i znaki rozpoznawcze, mające zapobiec tego rodzaju wydarzeniom. To jest na ręce Niemcom, nie wolno nam do tego dopuścić”. Skonfundowany „Cień” potwierdził swoją winę i jeszcze raz za wszystko przeproszał. Rozmowie tej przysłuchiwał się „As” — dowódca zwiadowczy konnego. Na jego prośbę o pomoc w opatrywaniu rannych, „Cień” wezwał wóz sanitarny i sanitariuszkę „Anię”, z pochodzenia Rosjankę, która udała się na kwatery sekcji zwiadowczy w budynku Julii Krawiec, gdzie znoszono rannych członków oddziału „Moczara”.

Rozproszeni ludzie z obu oddziałów zaczęli stawać na zbiórce. Oddział AK na drodze przed kwatery zwiadowczy, AL nieco dalej, w stronę Bob. Szukając swoich ludzi, „As” mimo woli stał się świadkiem nowej tragedii. Leżący przy drodze ranny AL-owiec, łwidząc przechodzącego „Cienia”, poprosił go o pomoc. Na pytanie w co jest ranny, odpowiedział „w nogi”, na co „Cień” strzelił mu w głowę z pistoletu. Kiedy na odgłos strzału poderwali się ludzie, podnieceni jeszcze świeżo stoczoną bratobójczą walką, „Cień” polecił im zachować spokój, wyjaśniając jednocześnie, że „Brzezina” (Bolesław Łata) żegna się z towarzyszami. Świadkiem tego zdarzenia był również „Fiat”.

Według relacji mieszkańców wiosek Chrusliny-Owczarnia, dwóch członków oddziału „Cienia” oddało się do oddziału w czasie ataku na akowców. Dołączyli dopiero po akcji i na rozkaz „Cienia” zostali zastrzeleni za niesubordynację. Z podsumowania strat wynika, że powinno być 5 zabitych. „Cień” miał jednak tylko 4; tyłu pochowano w oddzielnym grobie. Być może któryś był ranny i nie został do- bity.

(Koniec odcinka 1. — cnd.)



Od lewej: Bolesław Hamaluk (Arystyd), Daniel Saulski (Mustafa-Bej), Krystyna Szydłowska (Deisy), Bożena Saulska (Madeleine).

Fot. Zbigniew Zugaj

I

LATA dwudzieste i trzydzieste XX stulecia były dla operetki przełomowymi. Z jednej strony wciąż jeszcze kontynuowano tradycje takich mistrzów jak Strauss-syn, Offenbach czy Zeller, z drugiej jednak rozpoczęła się już ewolucja gatunku w stronę wodewilu i musicalu. Było to nieuniknione — w ten sposób zaznaczył się wpływ na Europę kultury amerykańskiej, która zaczęła zdobywać stary kontynent. Wtedy właśnie pojawiły się nowe rytmy, a wśród nich ten najważniejszy — jazz. Kompozytorzy dostrzegli to i nie pozostali bezczynni. Zrazu nieśmiało, a potem coraz obficiej zaczęli tę nową muzykę wykorzystywać. Sztywnym przykładem może tu być Paul Abraham, którego „Bal w Savoy'u” możemy właśnie oglądać na scenie lubelskiego Teatru Muzycznego.

Jest to operetka dla swoich czasów typowa. Bliska już formule musicalu, wprowadzająca na scenę wszystkie modne ówczesnie tańce: tango, shimmy, slow-foxa, a nawet kangur-foxtrotta. Nade wszystko zaś pełna melodii, z których niemal każda stała się przebojem. „Beludżystan”, „O mister Brown”, „Toujours l'amour”, „Po prostu zakochałam się”, a zwłaszcza tango „Ja kochać umiem tak jak Tangolita” — te melodie śpiewała w latach trzydziestych cała Europa i są one powszechnie znane do dziś. Nie tylko zresztą miłośnikom operetki.

II

Pozornie postaciami centralnymi „Bal w Savoy'u” są Madeleine i Arystyd. To ich małżeńskie (i pozamałżeńskie) perypetie stanowią oś intrygi operetki. Są to role pisane dla typowych amantów, toteż jest rzeczą jasną, iż Arystyda mógł zagrać tylko Bolesław Hamaluk. Reżyser spektaklu, Ryszard Zarewicz, tak właśnie zdecydował i tego wyboru nie sposób zakwestionować. Nieco bardziej złożona jest sprawa obsady roli Madeleine, o czym napiszę za chwilę.

Tak naprawdę jednak libretto operetki rozpisane jest na czwórce artystów. Równie ważnymi bowiem czyni postacie Deisy i Mustafy-Beja. Ba, otwiera wręcz przed nimi możliwość zdominowania spektaklu. A odtwórcy tych ról — Krystyna Szydłowska i Daniel Saulski — w pełni z owej możliwości skorzystali, czyniąc z lubelskiej inscenizacji „Bal w Savoy'u” swój wielki popis.

III

Krystyna Szydłowska podjęła się zadania nader ryzykownego. Niektórzy widzą pamiętając jeszcze bowiem poprzednią inscenizację tej operetki, w której w rolę Deisy wcieliła się sama Xenia Grey. A rywalizowanie z legendą bywa — jak wiadomo — trudne i ryzykowne. Atoli ryzyko takie warto

NA BAL, NA BAL!

Andrzej Z. Kowalczyk

ponosić. Przy takich bowiem okazjach można zaprezentować pełnię swych możliwości.

Co zatem zaprezentowała Szydłowska? Poza nienagannym przygotowaniem wokalnym (co zresztą odnosi się także do pozostałych artystów), przede wszystkim znakomite aktorstwo, temperament sceniczny i — rzecz to nader rzadka — autentyczną, nieprzeciętną vis comica. Tym podbiła publiczność do tego stopnia, że wraz ze swym scenicznym partnerem otrzymuje brawa gorętsze, aniżeli para głównych bohaterów operetki. Jest w grze Krystyny Szydłowskiej coś, co przypomina aktorstwo Barbry Streisand z jej najlepszych ról w „Hallel Dolly” czy „Funny Girl”. Ta sama lekkość, humor, wdzięk i żywiołowość.

Tu mała dygresja. Są tacy artyści, którym przez długie lata nie jest dana możliwość zaprezentowania wszystkiego tego, co potrafią. W lubelskim Teatrze Muzycznym artystą takim był Lech Chodźka. Zawsze pozostający nieco w cieniu kolegów o głośniejszych nazwiskach. Podobnie jest także z Krystyną Szydłowską. To prawda, że rola Deisy jest jej wielkim triumfem, ale przecież potrafi ona znacznie więcej. Podczas koncertów estradowych, jakie na szczęście znowu zaczęto od czasu do czasu organizować, miałem okazję nieco dokładniej poznać repertuar i możliwości Szydłowskiej. A jest to repertuar niełatwy. Włącznie ze słynną arią ze śmiechem z „Pericholi” Offenbacha (najlepsze bodaj wykonanie od czasów Beaty Artemskiej) i nie mniej słynnym czardaszem z „Hrabiny Maricy” Kalmana, wykonywanym nie mniej znakomicie. Aż szkoda, że tylko na koncertach.

IV

Ale powróćmy do „Bal w Savoy'u” i drugiej gwiazdy spektaklu — Daniela Saulskiego. Jest to aktor najbardziej chyba wszechstronny z całej męskiej części zespołu teatru. Co prawda obsadzany najczęściej w rolach komediowych (Melchior Głaz w „Salonie pana Wdęckiego”, Pimpinelli w „Paganinim”), ale przecież również przekonująco wający jako amant, co udowodnił rolą Sandora Barinkay'a w „Baronie Cygańskim”. Ba, sprawdza się także w rolach dramatycznych. Dużym jego

sukcesem była postać Jima Mahoney'a w granym w gdyńskim Teatrze Muzycznym „Rozkwicie i upadku miasta Mahagonny” Weilla, a tylko przejście do lubelskiego teatru uniemożliwiło mu zagrać Judasza w musicalu „Jesus Christ Superstar”. Piszę o tym nie bez powodu. Że by się bowiem stało, gdyby Saulski na stałe został zaklasyfikowany jako aktor tylko komediowy. To prawda, że w takich rolach jest znakomity, ale — jak powiedziałem — jest równie dobry i w innych. A jeśli już ma się tak dobrego, wszechstronnego artystę, to należy wszechstronnie go wykorzystywać.

V

„Bal w Savoy'u” widziałem trzykrotnie. Albowiem mając zamiar napisania rzetelnej recenzji, postanowiłem obejrzeć i usłyszeć wszystkie trzy aktorki wcielające się w rolę Madeleine. Gdyby był to spektakl operowy, a w operze — jak wiadomo — ważny jest tylko śpiew i nic więcej, nie robiłoby mi większej różnicy to, czy na scenie znajduje się Bożena Saulska, czy też Krystyna Jarmułówna-Josicz. Obie bowiem artystki śpiewają bardzo dobrze i trudno by mi było przyznać którejś z nich palmę pierwszeństwa.

W operetce jednak równie ważne jak umiejętności wokalne jest także aktorstwo. A pod tym względem wyżej oceniam jednak Saulską. Jest ona po prostu bardziej przekonująca jako Madeleine. Podkreślam — bardziej, albowiem na grę Jarmułówny-Josicz także patrzy się z przyjemnością.

Nieporozumieniem jest natomiast obśadzenie w tej roli Marii Cielewicz-Gisic. Nie przekonuje ona ani wyglądem, ani aktorstwem, ani śpiewem. Spośród trzech oglądanych przeze mnie spektakli tylko podczas jednego, tego z udziałem tej ostatniej artystki, nie było oklasków po końcowym duecie Madeleine i Arystyda, co jest także jakąś formą recenzji. W owej chwili szczerze żał mi było Bolesława Hamaluka, który robił, co mógł, by przekonać publiczność do pary amantów, a którego wysiłki pozostały bezowocne. Żał tym bardziej, że w roli Arystyda artysta ów rzeczywiście może się podobać i z całą pewnością zasługuje na uznanie.

VI

Z tego, co dotychczas napisałem, wynika wyraźnie, że lubelskiej inscenizacji „Bal w Savoy'u” wystawiam wysoką notę. Zasługa w tym przede wszystkim aktorów. Ale przecież nie tylko aktorstwo decyduje o tym, że publiczność szczerze wypełnia widownię teatru. Jest w tym coś więcej — naturalna ludzka potrzeba oderwania się od rzeczywistości, choćby nawet na krótko. Potrzeba zawsze ważna, lecz dziś, tu i teraz, ważniejsza może niż kiedykolwiek.

Przypomnijmy, co pisał Wilam Horzycy: „Bo czymże w ostateczności jest teatr »jako taki«? Przybytkiem anów, niepojętą instytucją, w której co wieczór schodzą się ludzie, ukapani aż po szyję i wyżej w całodziennej — może pozornej tylko — trzeźwości, by przez chwilę, czy przez parę godzin, bez reszty oddać się anom”.

Paul Abraham, „Bal w Savoy'u”, libretto: Alfred Grünwald i Fritz Löhner-Beda, tłumaczenie: Leopold Beck i Michał Ślaski; spektakl lubelskiego Teatru Muzycznego; reżyseria i inscenizacja Ryszard Zarewicz; kierownictwo muzyczne Lucjan Jaworski; scenografia Teresa Ponńska; choreografie Janina Niesobka.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 19—21.01 godz. 18; „Czego nie widać” Michaela Frayna; reż. Andrzej Zaorski.

Teatr Lalki i Aktora: 18—19.01 godz. 10, 12; 20.01 godz. 12; 21.01 godz. 14; 23—24.01 godz. 10, 12; „Słowik” baśń H. Ch. Andersena; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny: 18.01 godz. 10, 12.30: „Czarodziejski pierścień” L. Kaszyckiego; reż. Zbigniew Czeski. 20—23.01 godz. 19: „Bal w Savoy'u” Paula Abrahama; reż. Ryszard Zarewicz.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filarmonia — 19.01 godz. 19, 20.01 godz. 18 — koledy i pastorałki. Wykonawcy: Chór „Collegium Musicum” pod dyrekcją Zofii Bernatowicz oraz aktorzy: Ilona Zgiet, Michał Zgiet, Zbigniew Litwińczuk.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej koleś, koleś...” (zimowe zwyczaje ludowe).

Galeria Labirynt 2 (ul. Grodzka 3) — wystawa rysunków i instalacji Joanny Przybyli.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa Zdzisława Kwiatkowskiego pt. „Instalacje i Performance”.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa grafiki Zbigniewa Józwicka.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — 18.01 godz. 18 — otwarcie wystawy rzeźby Sławomira Hapońskiego.

Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejszner — pierwsi profesorowie nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

W PUŁAWACH

Dom Chemika — wystawa Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej Oddziału Lubelskiego.

W CHELMIE

Muzeum Okręgowe (ul. Lubelska 55) — wystawa rzeźby Adama Myjaka.

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO

BLAM — lapki. 260-34.

33336/G

LOKALE

POSREDNICTWO 77-86-12.

32859/G-4

RÓŻNE

KUPNO, sprzedaż, zamiana nieruchomości i mieszkań. Akt notarialny w ciągu 24 godzin. „Miro”, tel. 448-72.

33030/G-3

„VIDEOCOCKTAIL” wypożyczalnia kaset video. Leonarda 18. Klub MPiK czynny 13—18, soboty 13—17. Korzystne warunki.

32776/G

SPRZEDAŻ

NOWE podzespoły zuka. Lublin 71-41-94.

33226/G

LADA — combi (1989). Lublin 77-83-06.

33755/G

Czwartek

18 STYCZNIA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Gorący weekend”
10.10 Domator
10.20 Program dnia i Telegazeta
10.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim „Ordy” — serial animowany prod. japoń.
17.15 Teleexpress
17.30 Milionerzy — program public.
17.55 „Poza rok 2000” — film dok. prod. australijskiej
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Gorący weekend”
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport
21.45 Pegaz
22.30 Dt — echa dnia
22.45 Piknik Country Mrągowo '89
23.25 — 23.55 Język angielski (43)

PROGRAM II
16.55 Język rosyjski (13)
17.25 Program dnia
17.30 Skarby kultury polskiej: „Gniew” — film dok.
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Ptasi ogród w Minh Hai” — film przyr. prod. wietnamskiej
19.45 Gdańskie spotkania w miniatu — reportaż
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Perły z lamusa: „Wiatr” — film fab. prod. USA.
23.25—23.30 Komentarz dnia

Piątek

19 STYCZNIA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Carscy kadeci” (3) — serial muzyczno-kostiumowy prod. ZSRR
10.30 Domator
10.20 Program dnia i Telegazeta
10.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
10.50 Dla dzieci: Okienko Pankratego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa
17.55 „Ostatni powstaniec” — film dok.
18.25 Rzeczpospolita samorządna
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 „Szuani” (1) — film histor. prod. franc.
21.25 Sport
21.35 Kontrapunkt — program public.
22.05 Artyści dla Rzeczypospolitej
23.00—23.05 Dt — echa dnia

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Wzroczowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 O czym się mówi? — program public.
18.50 Program rozrywkowy
19.30 Dookoła świata: We wschodniej Afryce
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy Wooda Allena: „Miłość i śmierć” — prod. USA
23.05—23.10 Komentarz dnia

Sobota

20 STYCZNIA
PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Jelonek”
10.30 Dt — wiadomości
10.40 „Perla północnych Chin” — film dok.
11.40 Diamentowe melodie — program muzyki klasycznej
12.10 Z Polski rodem — magazyn polonijny
12.40 Telewizyjny koncert życzeń
13.10 Szkoła mistrzów: Feliks Falk
13.30 Telewizyjny Teatr Prozy: Zofia Nałkowska „Granica” (2)
14.45 Program dnia
14.50 Być reporterem: Chris Niedenthal
15.15 Filmy o miłości: „Szklana góra” — prod. pol.
16.45 Rewizja nadzwyczajna: General August Emil Fieldorf-Nil
17.15 Teleexpress
17.30 Polska walcząca — Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Papugi
19.30 Wiadomości
20.05 „Szuani” (2) — film histor. prod. franc.
21.25 Artyści dla Rzeczypospolitej — Wielka gala
0.05 Telegazeta i jutro w programie
0.15 Kino sensacji: „Dwójka karo” — film fab. prod. USA

PROGRAM II

12.45 Czas akademicki: katolicki nurt stowarzyszeń akademickich
13.15 Konkurs 5 milionów
14.00 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
14.25 Blok programów oświatowo-wychowawczych
16.25 Studio sport: Puchar Świata w narciarstwie alpejskim (zjazd mężczyzn)
16.55 Powitanie
17.00 Powróćmy jak za dawnych lat — program muzyczny
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Galeria 37 milionów. Pejzaże erotyczne Janusza Trzebiatowskiego
20.00 Klucz do nowej muzyki: O twórczości Eugeniusza Knapika
20.50 Życie pod celą, czyli zwierzenia grypsera
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead” (3) — serial fab. prod. ang.
22.40—22.45 Komentarz dnia

Niedziela

21 STYCZNIA
PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Telerek, a w nim „Uciekaj, Rebeko, uciekaj” (1) — film przyg. prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Złoto” (6) — „Klejnot” — serial dok. prod. wł.
11.15 Kraj za miastem
11.40 Film dok.
12.00 Poranek Symfoniczny WOSPR iTV w Katowicach
13.00 Teatr dla Dzieci: Jerzy Owsiak, Michał Lorenc — „Niezwyczajne przygody z palcem Ludojada”
14.10 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Morze — magazyn public.
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (36) — serial fab. prod. brazył.
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Eduardo De Filippo — „Cylinder”

18.30 Agromarket — aktualności gospodarki rolno-spożywczej
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, siedem” — film fab. prod. TVP

21.05 Siedem dni: Świat
21.35 Sport
22.15 Filmy Józefa Błachowicza: „Oblicze zbrodni” (2) — „Morderca nie przyznaje się do winy”
23.05 Jutro w programie

PROGRAM II

9.30 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.50 „Dekalog, siedem” — film fab. prod. TVP (dla niesłyszących)
10.50 „Pieśń ujdzie cał...” — woj-skowy program dok.
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro: poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino rodzinne: „Bajarz” — odc. 4 pt. „Olbrzym bez serca” — serial prod. ang.
12.55 100 pytań do...
13.35 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem
12.50 „Polacy” — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Biblia a historia” — odc. 1 pt. „Kiedyś, dawno temu...” — serial dok. prod. ang.
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wik-tora Zina
16.10 Biografie: „Marlon Brando — dziki” — film dok. prod. wł.
17.10 Studio sport: Puchar Świata w narciarstwie alpejskim (ślalom specjalny mężczyzn)
17.30 Bliżej świata
18.45 Prof. Ewa Łętowska, rzecznik praw obywatelskich — w programie Ireny Dziedzic
19.30 Galeria „Dwójki”: Emilia i Wojciech Freudreichowie
20.00 Studio sport
21.00 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (21) — serial fab. prod. USA
22.45—22.50 Komentarz dnia

Poniedziałek

22 STYCZNIA
PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Ziela Świętej Katarzyny” — film dok. prod. egipskiej
18.30 Jacy jesteśmy — program public.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 w Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji na Świecie: Edward Albee — „Chwiejna równowaga”
22.20 Sport
22.30 Dt — echa dnia
22.45 Obok nas — reportaż
23.15 Język francuski (12)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (14)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Zmagania o Polskę” (3) — „Inny świat — Żydzi polscy” — serial dok. prod. ang.
19.30 Roman Lasocki przedstawia: Monika Jarecka (skrzypce)
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Program public.
22.20 „Heimat” — „W środku świata” — serial obycz. prod. RFN
23.50 Komentarz dnia

Wtorek

23 STYCZNIA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Stacja końcowa” — film fab. prod. CSRS
10.50 Domator
10.20 Program dnia i Telegazeta
10.25 Dla dzieci: Tik-Tak
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 System
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Sekrety telewizji — program public.
19.30 Wiadomości
20.15 „Chichot Pana Boga” (1) — film TVP. Reż. Tadeusz Kijański.
21.35 Sport
21.45 Listy o gospodarce
22.20 Dt — echa dnia
22.35 Muzyczny rewanż '89
23.35 Wódka, pozwól żyć...
0.05 Język rosyjski (14)

PROGRAM II
16.55 Język angielski (44)
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program public.
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego: Mieczysław Roztropowicz
21.00 W kręgu sztuki: „Współcześni fotografowie — Peter Lindbergh”
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Niedzielne igraszki” — film prod. pol. Reż. Robert Gliński.
22.40 Komentarz dnia

Środa

24 STYCZNIA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Wyrzwał” — film fab. prod. jugosłowiańskiej
10.50 Domator
10.20 Program dnia i Telegazeta
10.25 Dla młodych widzów: S O S
16.50 Cojaki — teleturniej
17.15 Teleexpress
17.30 Gry wojenne
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Wiadomości
20.05 „Chichot Pana Boga” (2) — film TVP
21.20 Sport
21.30 Plus — minus — program public.
22.00 Wokół Wielkiej Sceny — magazyn operowy Piotra Nędzyńskiego
22.50 Dt — echa dnia
23.10 Język angielski (14)

PROGRAM II
16.55 Język francuski (12)
17.25 Program dnia
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Pokój niżej” (3) — „Niemiecki gość” — serial prod. ang.
19.30 „Indie” — program dok.
20.00 Czarno na białym — przegląd pkf
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron — „Gorący Sachalin”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Przyjaciele” (4) — „Nauka” — film TVP
23.05 Telewizja nocą
23.50 Komentarz dnia

relacje



ADRES REDAKCJI
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POZCZT. 231



TELEFONY
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZ REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

ZESPÓŁ

EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSLAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)
ZBIGNIEW DZIECIŃCZEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ
REDAKCJI) • WALDEMAR STĘPIEN (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO)
IZABELLA WŁAZŁOWSKA (WSPÓŁPRACZ) • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA (CZŁONK) • KRZYSZTOF ŁAMCH
KURENTA BARBARA CABAN (MASZYNOPISZKA) • BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLIS (SEKRETARIAT) • ANNA
WOJCIWICZ (TRANSPORT) • GRZEGORZ BORZĘCKI

WYDAWCA

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0680-8830.

AD VOCEM

PERICULUM
IN MORA

PERICULUM in mora — wołali nasi senatorzy i posłowie podczas niedawnej debaty nad nowymi rozwiązaniami gospodarczymi. Oznacza to dosłownie „niebezpieczeństwo w zwłoce”, a szerzej — jest alarmującym wołaniem, wyrażającym potrzebę uzyskania szybkiego ratunku. W stanie naszej gospodarki wołanie na pewno uzasadnione.

Samo wyrażenie pochodzi z dzieła rzymskiego historyka Tytusa Liwiusza. Użył go on opisując zasadzkę, w jaką wpadł konsul Gneusz Manlius podczas walki z Galatami w 189 r. p.n.e., w okolicach dzisiejszej Ankarę. Zaskoczony nieprzyjacielskim atakiem zaczął się powoli cofać, w końcu jednak — relacjonuje Liwiusz — „kiedy już bardziej niebezpieczne było zwleknięcie... wszyscy na całej przestrzeni zwrócili się pędem do ucieczki!” (38, 25, 13; tłum. M. Brożek).

W języku prawniczym „periculum in mora” odnoszone jest niekiedy do dłużnika w zwłoce, który z tego powodu ponosił ryzyko przypadkowej nawet utraty przedmiotu zobowiązania. Było to właśnie jego „niebezpieczeństwo w zwłoce”.

Z czasem określenie to stało się zwrotem obiegowym, odnoszonym do różnych sytuacji. Do spraw gospodarczych, w podobnym jak u nas sensie, odniósł je np. sam Lenin, gdy w 1921 roku pisał w jednym z listów o pilnej potrzebie przyspieszenia reformy walutowej, inaczej bowiem... periculum in mora. Jak widać, nie byli nasi parlamentarzyści całkiem oryginalni w swym wołaniu.

Wróćmy jednak do Liwiusza. Opisana przez niego historia skończyła się dobrze. Uciekający Rzymianie uzyskali pomoc (ale własną!): „zaraz też szczęście się odwróciło i strach ze zwyciężonych przeszedł na zwyciężających”. U nas na razie nie wiadomo, kto jest zwyciężającym, a kto zwyciężonym. Na pewno mamy tylko dużo strachu.

Arcus M.

W NUMERZE 4.
OPUBLIKUJEMY:

- Paryż wielkiego szoku ●
- Kochana Telewizjo Noca ●
- Dyżur senatora ● Przyjechało NKWD ●
- Solżenicyn a Polska ● Życie z cenzurą ●
- Koniec ekonomicznego bezprawia ● Wokół „Kunciewiczówki” ●
- Mord w Owczarni

WBREW powszechnym obawom nie boję się wcale, czy Polacy wytrzymają reformę Balcerowicza materialnie. O to jestem dziwnie spokojny. Podtrzymują mnie w wierze puste półki w „Pewexach”, emeryci fundujący sobie wędlinowe zakupy na sumę dwustu tysięcy złotych, zabiedzone gospodynie domowe gromadzące tonami cukier, by — przed kolejnymi podwyżkami — zaoszczędzić parę groszy. Niebezpieczeństwo dostrzegam zupełnie gdzie indziej.

Kiedy raz pewnego (przed Świętami Bożego Narodzenia) wsiadłem do taksówki, przywitała mnie soczysta wiązanka przekleństw skierowanych pod adresem premiera Tadeusza Mazowieckiego. (Według statystyk bardzo go wszyscy kochamy, ale miłość ta ma charakter raczej werbalny: „To taki sympatyczny facio”; w działaniach obowiązuje totalny bojkot jego polityki). „Pan wie, co on wyprawia! — wykrzykiwał mój woźnica — Jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie zwinąć interes! Dzisiaj na klienta czeka się godzinami!” Kiedy zwróciłem nieśmiało uwagę, że tak jest na całym świecie i że dokładnie po to są taksówkarze, przedstawicielowi „rządzącej” dotąd klasy odjęto mowę. Sumąśmym nowym mercedesem, z tyłu porbrzękiwała z japońskich głośników muzyka, mój rozmówca wioził na sobie parę milionów złotych w postaci pełnego, dzinsowego komplectu firmy Lee i polyskiwał złotym sygnetem.

Jak przekonać takiego człowieka, że to nie on ma — trzymać najwyższe w kraju wynagrodzenie? Jak udowodnić mu, że to nie taksówkarze popychają kraj na drodze ku potęgowi? Jak namówić go, by zaakceptował wysokie uposażenie profesora, lekarza, architekta, prawnika? Jak więc zepchnąć go na właściwe mu miejsce w hierarchii społecznych wartości?

Kiedyś, w dawnym powiecie węgrowskim pokazywał mi gospodarz na dwunastu hektarach nowy „wózek”, który był właśnie kupił dla swego syna Jasia, w miejsce starego, rozbitego w drodze na wiejską potańcówkę. Nowiutka blacha fiata 125p polyskiwała salatkową zielenią. Jako „profesor” gimnazjum, bez rodziny na wsi, do takiego samochodu mogłem sobie wówczas kupić co najwyżej kierownicę.

Jak przekonać tę wielką, „rozdygotaną” masę, że spiaczetełk pola nie wystarczy już do zakupu córkom, synom i szwagrom mieszkań w mieście? Jak przegotować gospodarzy na to, że jako „farmerzy” będą plasowali się w dochodach gdzieś pod koniec drugiej dziesiątki? Jeśli zaś nie skomasują ziemi lub gospodarzyć będą źle, to po prostu pójdą z torbami. Przecież oni już rozpoczęli strajk w pierwszym dniu obowiązywania reformy.

Jak wreszcie ruszyć największą klasę, „sól ziemi”, siłę sprawczą wszelkiego postępu? Przecież to robotnicy — i jest to fakt niezaprzeczalny —

wywalczyli nam obecną demokrację. To oni, dziesięciolecie po dziesięcioleciu, buntowali się przeciw nieludzkemu systemowi. To jedynie oni władni byli zmieniać rządy i wywierać pierwszych sekretarzy. I chwala im za to. Tylko... jak przekonać ich, że w kapitalizmie (ku któremu już otwarcie zmierzamy), to nie oni będą przewodzić? Już niedługo ich zbiorowa siła rozmyje się w powodzi partykularnych interesów. Wyłoni się proletariacka arystokracja, wysoko wykwalifikowani fachowcy, robiący duży pieniądz i spędzający wakacje w Hiszpanii; plebs — grupa niedouczonej, niezbyt zaangażowanych w produkcję olejaczy, którym ledwie wystarczy do pierwszego i wreszcie pariasi — obiboki, żyjący na zasiłkach dla bezrobotnych. Wówczas nie uda się już stanąć ramie przy ramieniu i żądać dla każdego po równo.

CZY WYTRZYMAMY?

Wiesław Horabik

Skończy się klasowa solidarność, bo ten i ów nagle poczuje, że jego interes leży dokładnie po przeciwnej stronie niż kolegi Kazika, a związkę zawodową klaniać się będą grzecznie, jak pod żelazną ręką ani Thatcher. Nie będzie też jednego, ani dwóch związków, ale tysięcy, dwa tysiące, każdy o sprzecznych, wykluczających się pragnieniach. Czy świadomość tych faktów dotarła już do robotniczej braci? A jeśli nie, to co będzie, jak dotrze?

Jedną z moich znajomych buntowała się ostatnio przeciw takiej wizji przyszłości, w której najlepiej sytuowani będą ludzie mający po prostu głowę do interesów. Nie, jak dawniej, do spekulacji, ale właśnie do interesów. Niepokoili ją ten „niezasłużony” przywilej. Dobry businessman nie musi przecież czytać książek, nikt nie żąda odeń znajomości savoir vivre'u, a subtelność i wysoka kultura po prostu w tym fachu przeszkadzają. To prawda: Rockefeller-ojciec był rzadkim prostakiem, a i w większości domów podwarszawskich „przemysłowców”, próżno byłoby się rozglądać za „Panem Tadeuszem”. W społeczeństwie kapitalistycznym nie to jest jednak najważniejsze.

Czy wszystko to jasne jest dla naszego społeczeństwa, przyzwyczajonego żyć według dewizy „czy się stoi, czy się leży...”? Czy my — Polacy, przywiązani do rzeczywistości, w której choć nikomu nie jest dobrze, to i nikomu nie jest źle, gotowi jesteśmy zmilczeć, gdy nasz sąsiad wyprowadzi się do lepszej dzielnicy, gdy nie będzie już można podworować z profesora:

„Zobacz jaki uczony, i co z tego ma?” Obecny stan ma się tak, że daliśmy Balcerowiczowi rok, niech no jednak spróbuje nie zbudować nam przez ten rok drugiej Japonii!

Tymczasem Polska nie tylko nie posiada instytucji, na które Zachód pracował przez dziesięciolecia, ale któż z nas pisze się na to, by, jak Anglik, wyruszać do pracy na dziewiątą i wracać o dwudziestą, by otwierać sklep w niedzielny poranek, bądź zamykać go o trzeciej w nocy? Kto kiedykolwiek po codziennej szychcie musiał wyciskać skarpetki z potu i kto zgodzi się na dwutygodniowy urlop w ciągu roku? A przecież kapitalizm to także Meksyk, Argentyna i Bangladesz.

Co powiedzą niechlujne ekspedientki, wynoszące wieczorami w bulwiastych torbach niedostępne ogółowi smakotyki, gdy właściciel podziękuje

im za pracę? Jak zachowa się pani z poczty wkrzykująca pogardliwie „Lublinów nie ma”, gdy zaśnie jej w oczy widmo „panakurońlowej” żupki? Co powie lekarz, syn słynnego lekarza, robiący punkcję w zdrowe kolano, gdy przyjdzie opuścić klinikę? Jakim głosem zaśpiewa milicjant, który za złamanie prawa, zamiast na emeryturę powędruje za kratki? A co z księdzem, jeśli — tak jak we wszystkich krajach wysoko cywilizowanych — ludzie zamiast w duszę zapatrzeć się bez reszty w złotego cielca? A hydraulik, który nie umie naprawić zlewu, docent z nominacji, oficer z chęci szczerej...? A z czego żyć będzie rzesza „międzynarodowych handlowców”, gdy w Polsce będzie wszystko, dokładnie tak jak na Węgrzech, we Francji i w Rumunii? Jak zareaguje kierowca — dziś powiernik i podpora szefa, gdy odgrodzi się go szyba, ubierze w uniform i kręć cichutko otwierać i zamykać drzwi? Kto wreszcie z Państwa wykieruje syna na kamerdynera z kwalifikacjami, a córkę na zawodową pokojówkę?

To wcale nie wizja czarnej przyszłości. Tak po prostu musi być, jeśli ma się powieść reforma premiera Balcerowicza.

Czy się powiedzie?

PS. By nie było nieporozumień: reformę tę popieram z całego serca. Może zresztą nie będzie tak źle. Za godziwą však zapłatę nawet nasz najprawdziwszy profesor wyszoruje gładko patelnię w „Ristoranto La Pesana”. Cóż dopiero, gdy będzie to robił u siebie, dla kraju.

POŻAR NA PENSJI
W CZASIE POWODZI

Michał Zioliński

MARZENIEM filmowców z Hollywood było, jest i będzie sfilmowanie pożaru internatu szkoły żeńskiej (czyli tzw. pensji) w czasie powodzi. Wydarzenie takie gwarantuje bowiem — zdaniem fachowców — maksymalną dynamikę akcji, a balagan, powstający w jego trakcie pozwala na wprowadzenie wielu — tak lubianych przez widzów — elementów tragikomicznych.

Marzenia filmowców z Hollywood jesteśmy w stanie spełnić. To, co się działo w gospodarce naszej, zawsze przypominało gaszenie pożaru. To jednak, co dzieje się w niej obecnie, sprawia wrażenie jakby do owego pożaru dołączył się cyklon średniej wielkości połączony z wylewem wód.

Nie wypowiadam się tutaj na temat samej konieczności zmian i tempa, w jakim zostały one wprowadzone. Wiem, iż było to, ze względu na wymogi Międzynarodowego Funduszu Walutowego — a kto płaci, ten wymaga — konieczne. Jeżeli jednak decydujemy się na istną rewolucję pieniężną, to wydaje się, że warto poprzedzić ją szeroką akcją propagandową. Wydawać mogłoby się — na przykład — że skoro posłowie (przede wszystkim dotyczy to oczy-

wście posłów z OKIP) zdecydowali się na uchwalenie ustaw istotnie zwiększających wydatki swoich wyborców, to w chwilę po podjęciu tych uchwał udadzą się do nich, aby wytłumaczyć, na czym one polegają i dlaczego są konieczne. Jak wiadomo, tak się jednak nie stało. Zgromadzenie Narodowe uznało za bardziej pilną sprawę nazwy państwa i godła narodowego. Przy całym szacunku dla imponderabilii, pozwolę sobie być innego zdania.

To co zrobili posłowie jest jednak sprawą mniej ważną (choćby, postępując w ten sposób, narazili się na znaczne ryzyko polityczne utraty swej wyborczej bazy). Ważniejsze jest to, iż ekipa rządowa zatrudnia cały sztab ludzi odpowiedzialnych za informowanie o podejmowanych decyzjach. Będąc na miejscu tych osób, raczej zrezygnowałbym w tym roku ze Świąt i Sylwestra, i zadbał o to, aby przed 1 stycznia dokładna informacja o nowym systemie kredytowym, podatkowym itd. dotarła do publikatorów i ludności. Polskie empiria dowodzą bowiem, że ludzie są w stanie wiele zrozumieć i wiele przecierpieć — pod tym jednakże warunkiem, iż wiedzą, co ich czeka. Po drugie — i nie mniej ważne — brak informacji bardzo poważnie zwiększa ryzyko

paniki. A panika, nie raz, potrafiła pokrzyżować równie ambitne plany.

Posługując się szkolną skalą ocen, polityce informacyjnej rządu trzeba postawić pałę. Balagan, jaki powstał po pierwszym styczniu, nie miał chyba równie wielkiego poprzednika. Kilka milionów lokatorów mieszkań spółdzielczych dowiedziało się, iż kwota, którą płacić mają za mieszkanie istotnie rośnie. Nikt jednak — ani prasa, ani spółdzielnie, ani banki — nie potrafiły im wyjaśnić tego o ile rośnie, ani też precyzyjnie wyłożyć nowego systemu rozliczania kredytu. A nie o zarty tutaj chodzi. Kwota płaconą z tytułu odsetek wzrasta bowiem — w zależności od przyjętego wariantu spłaty — od dziesięciu do stu razy (w wariantcie „tańszym” jednak zadłużenie niemal się podwaja).

NA koniec akcent optymistyczny. A nic nie jest bardziej optymistyczne niż to, że pojawiają się wreszcie dowcipy o nowej ekipie rządowej. Na początek anegdota o osobie odpowiedzialnej za politykę informacyjną (podaje ją z tym większą radością, że w latach ubiegłych rozpowszechniałem dobrze ponad setkę dowcipów o Jerzym Urbanie).

Tata z synkiem spacerują bulwarami nad Wisłą. Nagle z rzeki wylania się piękna naga kobieta z długimi włosami koloru lnu. „Tata, tata — woła synek — popatrz. Wodnik”. „Nie wodnik synku — tłumaczy rodzic. — Rzecznik”.

* żeńska pensja występowała oczywiście w tych wersjach filmu, które miały być dostępne dla młodocianej widowni. W filmach dozwolonych od lat 18 występować miała instytucja inna, choć także z żeńskim personelem. Ta druga, wydaje się być bardziej trafnym porównaniem dla tego, co się w sferze informacji gospodarczej ostatnio wydarzyło.